AS

Nr. 26
25 CZERWCA 1939 R.
CENA 40 GROSZY

NAD POLSKIEM MORZEM



WISŁĄ KU MORZU

MIECZYSŁAW ZYDLER

Duże tablice na słupach wyższych od bujnej wikliny, która porasta brzegi, znaczą mijane kilometry. Od ujścia Przemszy aż do wylotu sztucznego przekopu na morze pod Schievenhorst jest ich 939. Nurt Wisły jest kapryśny, lubi rozmaitość i niejednokrotnie skręca pod kątem prostym ku przeciwległemu brzegowi. Kierunek żeglugi wskazują specjalne znaki, ustawione po obu brzegach i z daleka widoczne. Niema tu jednak na Wiśle pomorskiej białych i czerwonych bakanów, które, oświetlone po zachodzie słońca, pozwoliłyby utrzymać się na nurcie w nocy.

Dwa kilometry za ujściem Brdy do Wisły mijamy Fordon z jego więzieniem i olbrzymim mostem, należącym do największych w Europie. Przęsło, pod którem idzie nurt, oznaczone jest czerwoną tarczą. W nocy na takiem żeglownem przęśle pali się zielona latarnia.

Nocujemy w łodzi pod brezentową kabiną pomiędzy kamiennemi główkami regulacyjnemi. W dobrze uszczelnionej łodzi nocleg jest suchy, jak w sypialni.

W nocy budzi mnie głuchy, miarowy łoskot. Odchylam brezent i niemieję z podziwu. Jest chłodna, rzęsiście wygwieżdżona noc. Po czarnej, metalicznie połyskującej wodzie ślizga się snop silnego, białego światła. To reflektor idącego nurtem parowca. Nagle światło przeskakuje z lewego brzegu i niepewnie maca po naszej stronie, wypatrując znaku żeglugowego, na który sternik powinien wziąć nieomylnie kurs, aby nie osadzić statku na mieliźnie. Snop intensywnego światła powołuje znienacka do życia śpiącą dotychczas w mroku, gęstą, zbitą ścianę nadbrzeżnej wikliny. Na krótką, jak mrugnięcie, chwilę zatrzymuje się na naszej łodzi. Ten zimny, trupi blask jest nam dziwnie przykry. Może dlatego, że wyłuskał nas z ciemności, którą osłanialiśmy się przed natrętami. Ale reflektor przesuwa się dalej i odnalazłszy wreszcie znak żeglugowy zatrzymuje na nim na dłużej swoje białe spojrzenie. Statek podąża w tym kierunku, trzepiąc pracowicie wodę łopatami kół.

Wkrótce mija nas iluminowany parowiec pasażerski. Po jego przejściu dostajemy złośliwą falę, która kołysze łodzią mocno i długo. Już światła parostatku dawno zniknęły, ucichł nawet odgłos jego maszyn, niosących się po wodzie bardzo daleko, a łódź naszą wciąż jeszcze podrzucają fale wyprowadzonej z równowagi rzeki. Wreszcie powoli, stopniowo gniewne podrzuty i zgrzyt łańcucha kotwicznego zamieniają się w łagodne kołysanie i słodki bełkot wody, co rychło sprowadza krzepki, zdrowy sen.

Pomiędzy Grudziądzem i Nowem, u wsi Mały Wełcz, zbliża się do Wisły polsko-niemiecka granica państwowa, a mianowicie z Prusami Wschodniemi. Przeważnie ciągnie się ona wzdłuż wysokiego wału, który zasłania dolinę Kwidzyńską przed możliwością powodzi. Jednak koryto Wisły w całej swojej szerokości, a także wąski pas na prawym brzegu, należy do Polski.

Jeden z noclegów wypada nam obok wsi Jeżewnicy, przez niektóre mapy wymienianej jako Jeżyska, bądź Jaźwiska Wielkie. Wspominam tu o tej starej, bo dobrze pamiętającej czasy Jagiellonów wsi dlatego, że imci Klonowicz poświęcił jej w swoim niezrównanym „Flisie" pewien ciekawy czterowiersz. Przejęty troską o morale czytelnika wierszy tych nie mogę niestety zacytować. Ale kto ciekaw, niech zajrzy do „Flisa"!... Warto!

Na wprost nas, na wschodnio-pruskim brzegu rozciąga się wielka dolina Kwidzyńska, wraz z odległemi, ale wyraźnie rysującemi się w czerwonych blaskach zachodu konturami Kwidzyna. Pachnie zamierzchłem krzyżactwem od tego grodu, strzelającem w niebo gotyckiemi wieżycami. Na myśl nasuwają się dzieje rycerzy z Bogdańca, opasła postać Hugona de Danveld, tragedja Juranda ze Spychowa. Marjenburg, Christburg, Marjenwerder — oto nazwy, jakiemi pobożne, a wojenne mnichy chrzciły swoje warowne grody.

Nazajutrz dmie z północy taki silny wiatr, że o dalszej drodze niema mowy. Wkrótce zaczyna padać rzęsisty deszcz i trwa nieprzerwanie przez 40 godzin. Niema rady! Zdobywszy się na cierpliwość, trzeba przetrwać niepogodę pod kabiną. Grube krople bębnią posępny werbel po naciągniętym brezencie. Wicher gwiżdże na otworach kabiny jak na okarynie. Pod jego gwałtownemi porywami łódź, trzymana przez sumy, wibruje niby kamerton. Lepiej jednak przeczekać sztorm tutaj, niż u kamiennego nabrzeża portu w Gdańsku, gdzie dla wątłej łodzi postój nie jest wcale wygodny. Turysta wodny musi być przygotowany na podobne próby cierpliwości. Zależy wprawdzie od kaprysów przyrody, ale obcowanie z nią „na ty" potrafi sowicie wynagrodzić mu utratę tempa. Gorzej, że zaczyna brakować nam żywności, mleka i chleba.

Pozwolę sobie dotknąć tu pokrótce pewnej kwestji, która ze względu na swoje duże znaczenie wymagałaby omówienia w specjalnym artykule. Odpowiednie odżywianie, zdrowe, a nadewszystko regularne, odgrywa doniosłą rolę podczas każdej wycieczki, ale ogromnej wagi nabiera dopiero podczas włóczęgi wodnej, kiedy ograniczenie chodzenia do minimum, utrudnia proces trawienny. Wielkie usługi oddaje tu mleko oraz regularność posiłków, którą niech mi wolno będzie raz jeszcze podkreślić. Przestrzegając regularnego i prostego odżywienia, turysta nie tylko ustrzeże się choroby, ale odbędzie dużo wypraw wodnych, podczas których czuje się zawsze znakomicie... Hm, dla dodania waloru swoim słowom, muszę tu chyba wyznać czytelnikowi, że życie naogół nie jest mi lekkie. Brak mi bowiem pewnej drobnostki, mianowicie nogi, którą mi bolszewicy odstrzelili w pamiętnym roku 1920. A jednak dzięki włóczędze wodnej potrafię cieszyć się jednem z najcenniejszych dobrodziejstw, jakie dostępne są człowiekowi na tym padole płaczu i walki o byt: radością życia. To cenne doznanie jest nieodłącznym towarzyszem wszystkich wypraw wodnych, dla których stwarza swoisty klimat. Zarówno w dzień, kiedy wiatr i słońce pieszczą nagie ciało żeglarza, jak i w nocy, gdy z otwartego namiotu widać rozgwieżdżone niebo, przekreślane świetlistemi łukami meteorytów — odczuwa się intensywną radość istnienia. Skoro więc życie umie okazywać takie swoje wartości inwalidzie, a więc człowiekowi, którego wyrzuciło, że się tak wyrażę — na mieliznę, to ileż chowa ich w zanadrzu dla was, którzy płyniecie pełnym jego nurtem!... Tylko zechciejcie wyjść z utartych kolein lądowych przyzwyczajeń!... Wyruszcie na nasze rzeki i jeziora!... Spędzajcie urlop na wodzie!

— — — — —

Dopiero po dwu dniach wichura słabnie do tyla, że możemy wreszcie ruszyć dalej. Duży ruch berlinek i parowców sygnalizuje bliskość ważnego portu w Tczewie. Wreszcie wieś, Biała Góra. Stoi tutaj maszt sygnałowy i niemieckie zabudowania graniczne, na których wiatrem targana powiewa wielka chorągiew: na czerwonem płótnie wyłamuje w białym kręgu swoje czarne ramiona swastyka, godło Trzeciej Rzeszy... Nieco dalej, poniżej wsi, noszącej eufoniczne miano Piekło, mijamy Nogat, prawe ramię Wisły, wzdłuż którego idzie granica pomiędzy Wolnem Miastem Gdańskiem i Prusami Wschodniemi. Polska traci tutaj prawy brzeg Wisły na rzecz Gdańska, a poniżej Tczewa traci również i jej brzeg lewy, pozostawiając ujście „Królowej rzek polskich" do morza w obcych rękach.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

ZAŁOŻYCIEL I WYDAWCA: MARJAN DĄBROWSKI
REDAKTOR: JAN MALESZEWSKI
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.
CENA NUMERU W LITWIE 50 CT.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała stro. na zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 26 **Niedziela, 25 czerwca 1939** **Rok V**



Zapewne nigdy „Święto Morza" nie spotkało się z takiem zrozumieniem i popularnością, jak w tym roku, kiedy byliśmy świadkami licznych politycznych posunięć, mających nas odeprzeć od Polskiego Morza. Rozumiejąc doniosłą rolę morza dla naszego życia gospodarczego i narodowego, zdwoiliśmy nasze wysiłki w kierunku dozbrojenia, a „Święto Morza" stanowi jedno z ogniw w utrzymaniu naszej gotowości bronienia naszego mocarstwowego stanowiska. — Na naszem zdjęciu scena z polskiego filmu, rozgrywającego się częściowo na jednym z naszych kontrtorpedowców.

FOTOGRAFJĄ PRZESZŁOŚCI — MINJATURA



Minjatury z końca XVIII i pocz. XIX wieku: u góry szkoła angielska, dwie (w środku) Stanisława Marszałkiewicza, na dole szkoła francuska (Muzeum Narodowe w Krakowie).

Dziwny i odmienny świat wprowadza nas wystawa minjatur, urządzona przez Muzeum Narodowe w Krakowie, w zabytkowym pałacu Pusłowskich. Przesuwają się przed nami twarze pięknych pań minionych wieków, postacie w efektownych strojach pełnych powabu i przepychu — twarze młodych książąt, dostojników i innych ówczesnych osobistości — sceny rodzajowe, tchnące atmosferą rokoka i wiele, wiele innych, obrazujących nam świat dawny, — życie odmienne od naszego.

Minjatura — ten maleńki obrazek, a raczej portrecik — sięga swą genezą daleko w minione wieki. Ba, już w egipskiej Księdze Umarłych znajdziemy w tekście malowidła — maleńkie wizerunki Buddy — a następnie spotykamy minjatury perskie i drobne malowidła na wazach greckich. Przy głębszem badaniu doszukamy się tych przykładów więcej, ale zostawmy te odległe czasy narazie — i sięgnijmy do czasów, kiedy nazwa minjatura została wprowadzona.

Ongiś w średniowieczu, kiedy książki były pisane ręcznie, siedział nad nimi „skryba“ — zwany — „miniator“. On to pisał kodeksy czarnym atramentem, a tytuł i początek rozdziałów zaznaczał specjalnym roztworem tlenku ołowiu — farbą czerwoną, zwaną minją. Początkowo były tylko litery mniej lub więcej ozdobne. Zczasem zaczynają występować coraz ozdobniejsze inicjały i motywy figuralne. Stąd już tylko jeden krok do wprowadzenia flory i fauny — do połączenia ich z postacią ludzką. Kiedy zaś w miejsce tła następują różne wzory, jest to już zapowiedzią krajobrazu.

W kodeksach tych dochodzi więc niejako do rozwoju maleńkich scen międzytekstowych, które zczasem znajdą miejsce na osobnych stronnicach. Rozkwit tego malarstwa przypada na wiek XV, a nazwa „minjatura“ rozpowszechnia się w XVI stuleciu.

Renesans wreszcie dopełnia reszty: oceniając człowieka nietylko w masie, ale też jako jednostkę, wpływa on na powstanie portretu. Czy jednak malarstwo minjaturowe wywodzi się w prostej linji z iluminowanych bogato kodeksów średniowiecznych nie jest narazie ustalone. W każdym razie nie przeszły one bez wpływu na minjaturę. Kto zaczął malować oddzielne portrety poza iluminowanymi kodeksami, nie wiadomo. Francja wskazuje na Jana Foguet'a i obu Clouet'ów, a Vasari opowiada o drobnych portrecikach Guilia Clovio (1498 do 1578). W Niemczech w tym czasie działał Hans Holbein (1497—1543), który podczas swej bytności w Londynie, bawiąc na dworze Henryka VIII jako jego malarz nadworny, położył podwaliny pod rozwój malarstwa minjaturowego w Anglji. We Flandrji znowu Hans Bol (1534—1593), a i w Polsce zaznaczyły się także zaczątki tej nowej techniki, która zczasem dochodzi do kolosalnego rozkwitu w Europie, stając się niejako niedzownym towarzyszem człowieka.

Minjatury malowane są na kartonie, welinie i pergaminie, niektórzy, jak np. Holbein używali odwrotnych stron kart do gry, a kiedy zaczęto malować na kości słoniowej, dało to w wyniku nowe efekty w tym tak misternie wykonanym portrecie. Malowano je też różnemi technikami, jak farbami wodnemi, częściej jednak kryjącemi — gwaszem lub olejno. Posługiwano się także emalją, którą doprowadził do pewnego poziomu Jan Tou-

Poniżej: Stanisław Marszałkiewicz 1790—1856: portret Wojciecha hr Pusłowskiego (wł. hr Ksawery Pusłowski).





Sante Panario: portret Włoszki (ze zbiorów Henryka Fraenkla, Kraków).

Bogusław Adamowicz: portret Marji z Moszyńskich hr Pusłowskiej (wł. Ksawery hr Pusłowski).





Na lewo: Ch. Berny: portret dziewczynki, XIX w. — minjatura znajduje się w Muzeum Narodowem).

i inne, jak Rosja, Holandja, Włochy itd, choć tu nie zabłysły talenty tej miary, co Isabey, Cosway, Daffinger.

W Anglji rozwija się szkoła może najznakomitsza. Pracowali w niej miniaturzyści całymi rodzinami a więc członkowie rodzin Hilliard, Oliver, Cooper, Plimer, Smart, Engleheart i Cosvay. Rozwój tej szkoły datuje się od Henryka VIII aż po drugą połowę XIX wieku. Najświetniejszym zaś momentem rozwoju jest pojawienie się na widowni Ryszarda Cosvay'a (1742—1821). Portreciki tonuje delikatnie jasnemi barwami, całość zarysowując świetną techniką. Użycie kości słoniowej w XVIII wieku stwarza doskonałe pole dla techniki portretowej, przez co koloryt występuje jasno i żywo, a zmiana z czasem techniki na szerszą i płynniejszą w pociągnięciach pendzla, daje może i za żywe kolory. W szkole angielskiej pracuje wielu innych artystów, pozostających pod mniejszym lub większym wpływem Cosvay'a. Do nich należą — John Smart, Humpherey, G. Engleheart i Plimer.

Na prawo: Anna Rajecka (?) uczenica Bacciarellego: portret dziewczynki (wł. Teresa ks. Lubomirska).



tin, zegarmistrz, wzbogacając w znacznym stopniu swą paletę. Technikę tę udoskonalił dopiero Jan Petitot (1607—1691), i jego można uważać za największego w tej dziedzinie. Stosowano także technikę lakową i wiele in.

Minjatura znalazła szersze zastosowanie. Służyła jako osobny portrecik, z którym właściciel się nie rozstawał, bo była podobizną bliskiej mu osoby, to znów stanowiła motyw ozdobny do bransolet, zegarków, tabakierek itp., a nawet w XVIII wieku w ozdobne guziki wprawiano maleńkie miniatury.

W ciągu XVII wieku miniatura zaczyna się coraz bardziej przyjmować, coraz więcej malarzy poświęca się tej umiejętności, a w niektórych krajach wyrastają potężne indywidualności mistrzów minjatury. Malarstwo minjaturowe rozpowszechnia się szeroko, co więcej staje się niejako modą. Garną się do tego nietylko miniaturzyści specjaliści, ale i malarze, a nawet amatorzy. W Polsce takim amatorem malarzem był podobno Zygmunt III, który oddawał się malarstwu i rzeźbie, złotnictwu i grawerstwu a także chętnie robił obrazki małych rozmiarów, a również król Stanisław Leszczyński posługujący się pastelami.

Przejdźmy teraz poszczególne kraje, w których wydała ona najlepsze owoce, dochodząc w ciągu wieków do szczytów doskonałości, by wreszcie pod koniec XIX wieku zejść z widowni, ustępując miejsca nowym wymogom i technikom w sztuce.

* * *

Minjatura portretowa zjawia się już w XVI wieku a rozwija w ciągu XVII stulecia, nie wychodząc jednak poza normy dawne. Wybijają się poszczególni malarze Samuel Cooper w Anglji, Cloueci we Francji, a i w Polsce nie brak było debiutantów. Złotym wiekiem rozwoju minjatury stał się wiek XVIII i pierwsza połowa XIX. Do najświetniejszych rezultatów dochodzi minjatura w Anglji, Francji, Austrji, chociaż i Polska dobrze dotrzymuje kroku, nie pozostając w tyle. Do głosu przychodzą



Powyżej: Henryk Füger 1751—1818: Szczęsnowa hr Potocka z dziećmi (wł. Franciszek hr Potocki).



Minjatura szkoły francuskiej ze schyłku XVII wieku, przedstawiająca scenę mitologiczną.

Podobnie we Francji najświetniejszy rozkwit malarstwa minjaturowego przypada na wiek XVIII, na czasy panowania Ludwika XVI. Minjatura staje się ulubioną sztuką dworu, damy wielkiego świata są modelowane przez wybitniejszych minjaturzystów. Rozwój jej dokonywa się zarówno pod wpływem wielkich malarzy, obrazujących życie rokoka — Boucher'a, czy Fragonarda, jak i specjalistów np. Szweda Adolfa Hall'a (1736—1793), nadwornego minjaturzysty królewskiego. Hall skupiał uwagę na twarzach portretowanych osób, oddając szczególnie kobiece z subtelnością i wdziękiem. W okresie cesarstwa działa Jan Baptysta Isabey (1767—1855). Jego minjatury, obrazujące przeważnie osoby z otoczenia cesarza, dają doskonały obraz charakteru epoki. Obok tych najwybitniejszych pracuje szereg innych, jak Guerin, Dumont, Jacques.

Współcześnie we Wiedniu kwitnie sztuka minjaturowa, dochodząc do szczytowych osiągnięć. Nie było tam tradycyj dawnych i przyszły one dopiero z zewnątrz. Przybywali tu minjaturzyści obcy, między nimi wenecjanka Rosalba Carriera. Pod wpływem tego ruchu wybija się indywidualność Fryderyka Fügera. Dok. na str. 31-ej.



Na lewo: Ogólny widok Centralnego Instytutu W. F. na Bielanach.

W „CENTRALI" TĘŻYZNY FIZYCZNEJ

W słoneczny dzień wybrałam się do C. I. W. F. na Bielanach. Dojechałam na miejsce tramwajem, który zatrzymuje się przy samem wejściu do Instytutu i po krótkiem sprawdzeniu mojej legitymacji, rozpoczęłam zwiedzanie. W roku ub. C. I. W. F. obchodził dziesięciolecie swego istnienia, zapoczątkowany został bowiem z inicjatywy Marszałka Piłsudskiego w roku 1928.

Celem jego jest wykształcenie i przygotowanie nauczycieli wychowania fizycznego dla szkół, armji, stowarzyszeń i organizacyj społecznych. Odrazu, na pierwszy rzut oka, C. I. W. F. imponujące robi wrażenie, które stale się potęguje w miarę zwiedzania. Nabiera się przekonania, że jest to placówka stojąca pod każdym względem na wysokim, wszechświatowym poziomie. Z prawdziwą dumą można się nią szczycić przed cudzoziemcami.

Poza tem jest tam nad wyraz ładnie, wesoło, pełno światła i słońca. Wszystko wykonane jest w kolorach żywych, jasnych, czystych. Miejsca dużo, korytarze przestronne, świetlice, halle, pokoje sypialne, aule robią nad wyraz miłe i harmonijne wrażenie, dają pewność, że tu jest dobrze żyć i pracować. Sprawdzianem tego, to wesołe, pogodne, tryskające zdrowiem spotykane twarze wychowanków Instytutu. Na każdym kroku pedantyczna czystość i dbałość o higjenę.

Pomimo, że zaczątek Instytutu sięga roku 1928, stale robi się coś nowego, dążąc do jeszcze większego udoskonalenia. I tak w roku 1937 w czerwcu została oddana do użytku ogromna, prześliczna, ogrzana pływalnia, wymiaru 25 na 12 m. Miałam sposobność asystować przy lekcji pływania, podziwiając zręczność i sprawność kandydatek w przeróżnych trudnych ćwiczeniach.

Warunki terenowe są na Bielanach wspaniałe i dają możność wydoskonalenia się we wszystkich prawie sportach. Poza tem w porze zimowej wyjeżdżają studenci na parotygodniowe kursy narciarskie, do różnych górskich ośrodków. Latem zaś odbywają praktykę na obozach, z uwzględnieniem 4-tygodniowego kursu sportów wodnych.

Instytut posiada własną kaplicę, czynną jednak tylko parę razy do roku, stale uczęszczają wychowankowie do kościoła OO. Marjanów na Bielanach. Odbywają się też rokrocznie rekolekcje dla młodzieży na miejscu.

Wykłady tak dla mężczyzn, jak i dla kobiet odbywają się razem, ćwiczenia zaś osobno. Gmachy internatu żeńskiego i męskiego są naturalnie oddzielne. W mieszkalnych pokojach urządzonych po hotelowemu, nie wolno nikomu, nawet rodzinie, składać wizyt. Pokoje są dwu-, lub trzy-osobowe. Nadzwyczajnie bogato uposażone są Zakłady Naukowe w Instytucie, a zwłaszcza zakład Antropologji, Anatomji wraz z muzeum, zakład fizjologji stosowanej, zakład fizyki i chemji, Instytut psychotechniczny itd. Na miejscu jest opieka lekarska, do rozporządzenia jej zaś oddany jest cały szereg sal i gabinetów, wszystko zaopatrzone bogato w najnowsze urządzenia. Każdy słuchacz posiada swoją kartę lekarską. Pod opieką lekarską znajduje się też kuchnia zakładowa.



Powyżej: Bieg na przełaj na terenach CIWF-u.



Powyżej: W sali gimnastycznej.

C. I. W. F. położony jest jakieś 6 kilometrów od centrum Warszawy. Posiada on teren 73 hektarów, będący własnością skarbu państwa. Kompleks gmachów otoczony jest wspaniałym parkiem, nadzwyczaj starannie utrzymanym. Szerokie aleje i ulice, wzdłuż których biegną kwietne rabaty, przeważnie róż, strzyżone żywopłoty, doskonale utrzymane trawniki. Wzorowe boiska, na których pełno gwaru ćwiczących się różnych zespołów. Bezpośrednio z parku ma się dostęp do lasu, gdzie też odbywają się różne sportowe ćwiczenia. Gmachy utrzymane są w stylu nowoczesnym. Do użytku młodzieży w chwilach wolnych służą obszerne hale i trzy świetlice. W tym roku ukończona została ogromna, ćwiczebna zimowa hala, pod dachem, zamknięta i ogrzana, latem służy do ćwiczeń w czasie niepogody. Instytut przyjmuje rokrocznie 30 kandydatów i 30 nowych kandydatek, na kursa dwuletnie, które dają prawo wyższej uczelni. Przyjmuje się osoby w wieku od 20 — 25 lat, warunkiem zaś przyjęcia jest matura lub seminarjum nauczycielskie, dla mężczyzn odbyta służba wojskowa. Podania o przyjęcia składa się w dyrekcji na Bielanach. Po ukończeniu absolwenci odbywają jeszcze praktykę w szkole średniej, poczem posiadają kompetencje instruktorskie. Zajęcia rozpoczynają się o godzinie 8.15. Obowiązujące są też wieczorowe zajęcia świetlicowe, prowadzone przez znane artystki: do zajęć tych należy w pierwszym rzędzie pouczanie o urządzaniu różnych przedstawień, ognisk, co w przyszłości będzie potrzebne słuchaczom w ich karjerze instruktorskiej. Poza tem urządza się już podczas kursów na obozach ogniska i inne imprezy, rzeczy bardzo lubiane przez miejscową ludność, gdzie się dany obóz odbywa.

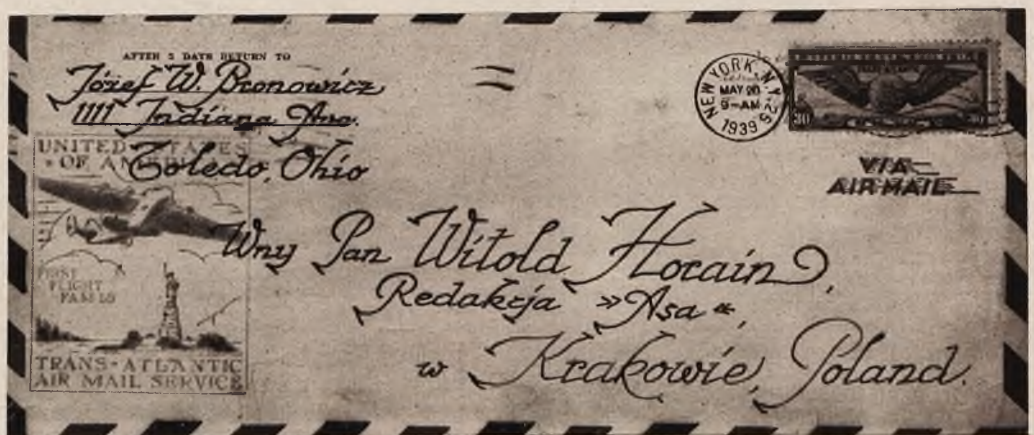
Byłam też ciekawa, jak dorosła bądź co bądź młodzież przyzwyczaja się do miejscowego regulaminu, którego musi skrupulatnie przestrzegać. Okazuje się, że Instytut cieszy się ogólną sympatją wychowanków, miarą czego jest, że częstokroć nie korzystają z wolnych popołudni, jakie mają dwa razy na tydzień i w dnie te nieopuszczają Instytutu, choć mają Warszawę pod bokiem. Kandydatów rokrocznie jest bardzo wiele, naturalnie sporo odpada po przejściu miesiąca próbnego obozu eliminacyjnego, na który składają się badania lekarskie, próby sprawności fizycznej, badania psychotechniczne, badania inteligencji i t. d. Dopiero gdy one dobrze wypadną, kandydat zostaje przyjęty na stałe kursy. Obowiązuje mieszkanie w internacie, wyjątkowo tylko można uzyskać pozwolenie na mieszkanie poza Instytutem. Pomiędzy studentami znajdują się też zawsze cudzoziemcy i Polacy z Ameryki.

Życie zbiorowe słuchaczy ogniskuje się w Tow. Bratnia Pomoc Słuchaczy C. I. W. F., która jest organizacją samorządową młodzieży. Bratnia Pomoc ma w swoim zarządzie świetlice, w których odbywają się wieczornice młodzieży. Prowadzi też swój sklepik współdzielczy i fryzjernię. Posiada własny chór i orkiestrę, a wszyscy słuchacze i słuchaczki należą do stowarzyszenia. Stworzono też różne sekcje, w których pracują i bawią się w wolnych chwilach, np. fotograficzną, oświatową, pracy społecznej, sportową. W Instytucie odbywają się też różne poszczególne parotygodniowe specjalne kursy, zależnie od potrzeb instytucyj państwowych, szkolnictwa i organizacji. Przybywając do Warszawy, tu w C. I. W. F. zatrzymują się asy naszego sportu. Na wiosnę ub. r. w C. I. W. F. odbyła się uroczystość wręczenia pięknej Nagrody Sportowej Jadwidze Jędrzejowskiej. Mieszkańcy zakładu, zarówno słuchacze, jak i ciało nauczycielskie, noszą mundury, które dla studentów składają się z spodni i szarej kurteczki z monogramem C. I. W. F. reprezentacyjny zaś mundur jest biały, również zaopatrzony w monogram. Dyrektorem C. I. W. F. jest obecnie płk. dr. Jerzy Nadolski, sekretarzem Instytutu p. Skoczylas, kierowniczką internatu żeńskiego p. Żółtowska, jej też wielkiej uprzejmości zawdzięczam poznanie tak bardzo ciekawej placówki polskiego czynu, jakim bezsprzecznie jest C. I. W. F. Żegnam z żalem to urocze środowisko, tętniące radością i pogodą moralnego i fizycznego życia, zdrowiem roześmianych, zadowolonych twarzy.

Zofja Chełmicka.

KĄCIK FILATELISTYCZNY

Najtrudniejsza trasa lotnicza, na której pokonanie ludzkość poświęciła tyle energji i gdzie tylu pilotów zginęło śmiercią lotnika, została wreszcze udostępniona dla regularnej a nie sporadycznej komunikacji. „Yankee Clipper" to nazwa, jaką nadano olbrzymiemu samolotowi, przewożącemu pasażerów i pocztę z N. Jorku do Europy, i na zdjęciu widzimy pewnego rodzaju historyczny dokument — a mianowicie kopertę, która przeleciała w pierwszej podróży ponad oceanem.



Koperta wysłana pierwszym samolotem, odbywającym podróż w regularnej komunikacji z Ameryki do Europy.

Poprzednio odbył się oczywiście jeden lot próbny „Yankee Clipper", ale nie wolno było wysyłać korespondencji, teraz jednak, gdy zapowiedziano zgóry, że wystarczy w odpowiedni sposób opłaci kopertę, aby ją przewieziono w rekordowem tempie do Europy, liczba tych przesyłek osiągnęła cyfrę 130 tysięcy. Tak też koperta ta nie będzie żadnym specjalnym rarytasem, ale ma może niemniejsze znaczenie poza-filatelistyczne, aniżeli te listy, które kilka lub kilkanaście lat temu przewieźli pierwsi zdobywcy oceanu. Wartość tych kopert, które Alcoc i Brown, de Pinedo i inni przekazali poczcie po przebyciu „wielkiego stawu" sięga wielu tysięcy złotych. Znacznie tańsze są już włoskie kartki i koperty, które leciały z eskadrą Balbo, nie mówiąc o niemieckich przesyłkach Zeppelinowych.

W. H.



PRZYGODA W GÓRACH

★

TADEUSZ WITOWIECKI

NOWELA

Była godzina szósta rano.

Postękując, jakby z nadmiernego wysiłku, pociąg piął się w górę, rzucając od czasu do czasu w uśpioną dal przeciągły gwizd lokomotywy, odbijający się tysiącznem echem, wśród dostojnych sosen i karłowatych świerków, nakrytych grubą warstwą śniegu, niby wielką, białą czapą.

Przez zamarznięte szyby wagonu, sączyło się szare światło spóźnionego poranka, kłócąc się z mdłemi płomykami lamp gazowych, sięgającymi poprzez obłoki tytoniowego dymu, niepewne, zielonawo-żółte smugi.

Mimo wczesnej pory ruch w przedziałach panował niezwykły. Jakaś młoda panna w tyrolskim kapelusiku, z rękami w kieszeniach aż po łokcie, zawzięcie dysputowała z tęgawym jegomościem, w obcisłym nieco, szafirowym kubraku, o wyższości łuków, nad wszelkimi innymi ewolucjami, na co przekorny towarzysz, widocznie narciarz dawnej szkoły, kiwał z powątpiewaniem głową, napróżno usiłując dojść do słowa:

— Ależ proszę panią... przecież...

— Szusem jeździ tylko warjat! Tak, proszę pana...

— Panie Kazku, jak można! — rozległo się od stolika z pod okna — słyszał pan przecież, że zapowiedziałam „trzy pik". — Trzy! A pan do stu tysięcy!...

— Pamięta pan ubiegłego roku, panie Leszku, naszą przygodę na Pysznej — wdzięczyła się dama w kwiecie wieku, do smukłego młodziana...

Gwar i śmiech, coraz bardziej napełniał wagon, któremu widocznie również udzielił się powszechny nastrój, bo z wielkiej uciechy podskakiwał na wsze strony, podrzucając na półkach stosy nart i pękatych plecaków.

Jeden tylko człowiek zdawał się nie podzielać ogólnej wesołości. Zaszyty w kąt przedziału, tępym wzrokiem wodził po ośnieżonych górach, nie zwracając najmniejszej uwagi na hałaśliwą gromadkę, z której co chwilę ktoś rzucał ciekawe spojrzenie na ukrytą w cieniu, barczystą postać młodego narciarza.

„Zdawaćby się mogło, że to było wczoraj — myślał — a to już cztery lata minęło od owej chwili, kiedy jeszcze nie wiedział. że znajomości zawarte na śniegu topnieją i znikają wraz ze śniegiem, by później, gdy nastanie wiosna, mogły nosić miano chwilowej przygody... — zmarszczył brwi — nie wiem właściwie, poco ja tam jadę, przecież to wszystko i tak już mnie nic nie obchodzi. Że kiedyś, jako młokos, dałem wystrychnąć się na dudka, to jeszcze nie powód, bym na starość robił się idjotą..."

Przecież od tego czasu zimę stale spędzał w mieście, aż wreszcie dziś, ot tak, z prostej ciekawości, jedzie w góry. Nadzieja? Roześmiał się w duchu.

— Mała górka — pociąg zatrzymał się na jakiejś stacyjce.

— Niechże pan wsiada — dał się słyszeć głos konduktora — bo zaraz ruszamy. Zatrzaśnięto drzwi wagonu i do przedziału wtoczył się gruby jegomość z nartami pod pachą.

— Bardzo przepraszam — sapnął przybyły, — może znajdzie się jakie wolne miejsce. — Niezręcznie manewrując nartami, omal nie wybił szyby.

— Ale się zmachałem — jęknął, sadowiąc się koło samotnika, wcale jak się zdaje, nie zachwyconego, nowym towarzyszem. Nie gorzej, jak na jakiej wycieczce, choć przyznam się panu — tu zniżył głos — że to moja ostatnia narciarska eskapada... — Obtarł kraciastą chustką zroszone kroplistym potem czoło.

Młody człowiek uśmiechnął się, złorzecząc w duchu gadule, który nagle zapałał do niego a iwną sympatją.

— Co innego pan — ciągnął niestrudzenie — młody, wysportowany... ale ja, ja panie dobrodzieju, dziewięćdziesiąt kilo żywej wagi, to nie żart — roześmiał się chrapliwie.

— To dlaczego pan właściwie jedzie?

— Dlaczego? — powtórzył nieznajomy i spojrzał z ukosa na młodego narciarza, bo widzi pan — taki jakiś wiatr powiał, że człowiek, który na nartach nie jeździ i nie potrafi godzinami uczenie mówić o wiązaniach, slalomach, lepniaku, czy innych paskudztwach, jest ignorowany w towarzystwie. Ignorowany, słyszy pan! — zaperzył się na serjo — ...zresztą — zmarszczył brwi, widząc, że sąsiad dusi się od śmiechu — mam coś do załatwienia w Lasku, więc...

— W Lasku?

— A pan zna tę miejscowość? — podchwycił grubas, widocznie zadowolony, że zmienili temat — bardzo ładne tereny, prawda? — uśmiechnął się jakoś dziwnie.

— Tak, owszem... ale ja tam już od kilku lat nie byłem...

— Ach... tak. Ale wie pan pewno, gdzie znajduje się pensjonat „Halina"?

Jaś zmieszał się na chwilę. „Halina" to przecież ów pensjonat, w którym przed laty...

— Oczywiście, że wiem — rzekł, odzyskując powoli równowagę — ostatnio tam właśnie mieszkałem, ale to porządny kawał drogi od stacji.

— A pan może także do „Haliny"? — spytał nieznajomy, przypatrując mu się badawczo.

— No... nie wiem, wybrałem się tylko na dwa dni, a mam w programie dalszą wycieczkę, na Bystrą Przełęcz.

— Lasek! — odezwał się głos konduktora. Pociąg zatrzymał się gwałtownie na stacji, zasypanej grubą warstwą świeżo spadłego śniegu. W przedziale zapanował momentalnie nieopisany zamęt. — Wszyscy chwytali za sprzęt i tłoczyli się ku wyjściu. Niecierpliwsi, wyrzucali przez okna plecaki, które ktoś z drugiej strony, łapał wśród wybuchów śmiechu.

— No, dowidzenia! — rzekł Jaś, dotykając dłonią czapki — przypuszczam, że się jeszcze kiedyś zobaczymy.

— O, napewno! — roześmiał się grubas — jeżeli wracając z wycieczki, wstąpi pan do „Haliny"...

— Doskonały typ — mruknął Jaś, szybko przypinając narty. Oczywiście, że do „Haliny" nie pojadę, mógłby ktoś trafić się ze znajomych i znowu zaczęłyby się docinki...

— Jakzes się ta macie panicku? — przed zdumionym Jasiem stanął stary góral z batem w ręce — toście chyba o nas całkiem zapomnieli, kiej nie poznajecie Łukasa.

— A dzieńdobry — jakżebym mógł was nie poznać — wyciągnął rękę do starego.

— Dyć zawdy was od kolei woziłek i te pieknom panienke — roześmiał się dobrodusznie, — która wicie...

— Pamiętam, pamiętam — przerwał Jaś, a dużo gości u was tej zimy?

Góral spojrzał na niego z pod oka, wyjął fajeczkę z ust i splunął kunsztownie przez zęby:

— Ta, jak zawdy, zjechało się tego narodu dosyć. Właśnie przyjechałek po gości do „Haliny". Pewno tyz sie tam wybiracie, tylko juz tam nie tak wesoło — uśmiechnął się filuternie.

— Wybieram się na Bystrą — rzekł szybko Jaś — może na noc wrócę do wsi.

Stary pokręcił z niedowierzaniem głową.

— Nie wieda, czy wrócicie, bo pewnikiem zadymka dziś bedzie — wskazał na granatowe, c i ę ż k i e chmury, wiszące nieruchomo nad górami. — Lepiej jedźcie ze mną, wycieczka przecie nie ucieknie, a jutro państwo z pensjonatu sie tam wybirajom, to z nimi pójdziecie, zawżdy przezpieczniej...

— Nie, nie — nic mi się nie stanie — roześmiał się Jaś — wiecie, że niebylejaki ze mnie narciarz... No, bywajcie zdrowi Łukaszu...

„KSIĘŻYCOWA PIĘKNOŚĆ"
Artystka filmowa Margaret Lindsay.

— Boże prowadź — góral stał jeszcze chwilę, popatrzył za odjeżdżającym, wreszcie ruszył ramionami i zawrócił ku saniom.

— — — — — — — —

Tymczasem od zachodu, nadciągnął długi, głęboki powiew. Zakołysał lasem, otrząsnął tu i ówdzie śnieg z wysmukłej chojary, pobaraszkował z uschłemi liśćmi i przepadł gdzieś w dolinie. Na to hasło, sinogranatowe, kłębiaste zwały chmur, schowane daleko za górami, wypełzły leniwie ze swego ukrycia i usiadły nisko nad lasem. I znowu cisza, tylko z oddali dolatuje złowrogi szum, to wiatr psotnik wraca z wędrówki, ale już silniejszy, z wściekłością zacina garściami zlodowaciałej kaszy i z przeciągłym świstem buszuje po kosodrzewinie i rozległych halach.

Uderzył wreszcie o chmury. Pękła czarna masa i ogromne płaty śniegu, białą, gęstą mgłą zasłoniły świat cały, a wiatr zaraz je uchwycił, zakręcił młynka i w obłędnym tańcu runął ku ziemi, aż z kopiastych wydm się zakurzyło. — Biała śmierć nadchodzi — szemrały złowrogo drzewa — okrutna, kogo spotka na swej drodze.

Jaś zatrzymał się na chwilę pod drzewem — do schroniska, przy takiej kurniawie, nie dojdę — mruknął — trzeba wracać. Z trudnością w gęstniejącej ciemności rozeznał kierunek i runął szusem po stromym, rzadko porosłym stoku. Nie zważał, że gałęzie świerków, niby drapieżne ręce, chwytają go za ubranie i sieką dotkliwie po twarzy, chcąc zatrzymać bodaj na chwilę. Oślepiony gęstemi razami śniegu, nie panował już nawet nad nartami. — Byle dostać się do wsi — gorączkowe myśli przebiegały mu przez głowę. — Czyżby zatracił kierunek?... przecież tędy przed godziną podchodził, powinien natrafić już na zagrody... O tu w prawo jest jakaś droga — skręcił nagle, lecz prawie w tej chwili coś podcięło mu nogi... Napróżno usiłował utrzymać równowagę, zatoczył się i z piorunującą szybkością gruchnął w czarną czeluść jakiegoś zakrzaczonego żlebu. Ogłuszony uderzeniem, potoczył się jeszcze kilka metrów, gdy dobrotliwa gałąź przecięła mu drogę i osadziła na miejscu.

— To się nazywa szczęście — pomyślał — sprawdzając z zadowoleniem, że prócz lekko stłuczonego kolana, żadnych poważniejszych obrażeń nie odniósł. Ale gdzie narta?! Ażeby to siarczyste pioruny! — zaklął — musi gdzieś być blisko. Wśród egipskich ciemności, podczołgał się pod górę i z dziwną pasją na czworakach, przeszukiwał metr po metrze. Ale narta, jakby wpadła do piekła.

Przemoczony do nitki i strasznie znużony, przycupnął pod krzakiem. — Niema rady, muszę przeczekać nawałnicę — pomyślał. Postawił kołnierz od kurtki, przemarznięte ręce wsadził w kieszenie i tak skulony wsłuchiwał się w przeraźliwą melodję wichru. — Trzeba było jednak posłuchać Łukasza i zostać w „Halinie" — myślał — w „Halinie"... przecież cztery lata minęło, jak tam nie był — wbił wzrok w ciemność — jak dziś przypomina sobie owe ferje zimowe, On student trzeciego roku prawa, pełen werwy i humoru, doskonały narciarz... ona złotowłosa dziewczyna, o niebieskich, dziecinnych oczach. Tworzyli przecież nierozłączną parę — otulił się szczelniej kurtką — głupi! Nie spostrzegł, że ludzie się ironicznie uśmiechali, nie słyszał i zdawał się nierozumieć docinków przy stole w pensjonacie o pani Marcie, żonie lekarza, która co roku kogoś uwodzi, a potem zostawia.

— Marta, Marta, szumiały drzewa. Jaś poczuł, że jakieś niewidzialne, bezlitosne kleszcze ściskają go za gardło, że dawne, zda się już unicestwione i nadludzką siłą zdeptane uczucie, ożyło znowu i powraca ze zdwojoną siłą. — Co to tak przeraźliwie gwiżdże? Acha... wiatr — resztki świadomości tłukły mu się pod czaszką — ale skądże?... stoi przecież przy pociągu... Marta odjeżdża... „Jasiu, mówi nie patrząc mu w oczy, musimy się rozstać... zresztą nie na długo". Marta!!! Dlaczego kłamiesz? — Odwróciła szybko głowę. „Oj, jaki z ciebie dzieciuch. Wiesz, że ty jeden tylko na świecie"... nagle pociąg rusza, chce biec, lecz jakaś nadludzka siła przytrzymuje go na miejscu, nie może nawet głosu dobyć, napróżno się boryka, już tylko z oddali słychać świst lokomotywy...

— — — — — — — —

— Umarł, czy co u djabła — gruby mężczyzna pochylił się jeszcze raz nad leżącym na ławie młodym narciarzem. — Serce niby się tłucze — mruknął, poczem poprawił stojący na stole ogarek świeczki, który skąpo oświetlał mroczną izbę chałupy. Przez zatkane szmatami do połowy okno widać było niewielką polanę. Zawieja dawno już ustała, a na czarne niebo wypłynął blady rożek księżyca, siejąc upiorne strugi, po niepokalanej bieli i otaczając niby tęczową aureolą, ciemne sylwetki dziwacznie powyginanych świerków.

Jaś jakby przebudzony z ciężkiego snu popatrzył w okno, rozejrzał się zdziwiony po izbie i nagle zatrzymał wzrok na nieznajomym, który teraz biedził się nad rozpaleniem ognia na obmarzłym palenisku.

— Panie, skąd ja się tutaj wziąłem — zerwał się z ławy.

— No, no — roześmiał się grubas — nieboszczyk wraca do zdrowia. Mało brakowało, a byłby pan na drugim świecie, inny by tego nie wytrzymał. Kilka godzin pod śniegiem, który zwolna zaczął lizać ułożony stos gałęzi.

— Tak tak, mój panie — ciągnął dziwny jegomość — anim przypuszczał, że uratuję znajomego...

— Nie rozumiem pana — wyjąkał Jaś.

— A bodajżeś pan pękł — zarechotał towarzysz — ta przecież wczoraj razem jechaliśmy pociągiem...

— Ale przecie miał pan zatrzymać się w „Halinie"?!

— W „Halinie" byłem. Oczywiście — uśmiechnął się jakoś dziwnie. Usiadł pod ścianą na ławie.

— Nazywam się Łaski, doktor Łaski — zaczął, patrząc zamyślony w ogień — i przyjechałem tu w rocznicę śmierci mojej żony, która dwa lata temu, zginęła na wycieczce...

Jaś czuł, że robi mu się słabo.

— Panie doktorze! Czy...

...Zresztą musiał ją pan znać, o ile był pan kiedyś w „Halinie" — ciągnął dalej grubas, zdając się nie spostrzegać zdumienia towarzysza. — Bardzo dobra narciarka, blondynka... Wyciągnąłem ją z pod śniegu, jak dzisiaj pana, tylko, że wtedy — nachylił się do Jasia i zniżył głos — przybyłem zapóźno... uważa pan, zapóźno...

— Zapóźno... — jak echo powtórzył Jaś...

Na palenisku dogasał ogień, rzucając tylko od czasu do czasu, z żałosnym jękiem, resztki iskier, w czarną czeluść komina...

Polowanie na rekiny!



1

Amerykańskim amatorom wędki nie wystarcza łowienie choćby smacznych, ale niewielkich rybek, w jakie obfitują wody słodkie. Wprawdzie trafiają się tam okazy wcale duże, mogące zaspokoić głód całej rodziny. Niemniej jednak daleko więcej emocyj dostarczają morskie połowy.

Na wybrzeżach Atlantyku nie brak wielkich ryb, których połów wymaga szczególnej zręczności. Wspomnijmy o pięknych tuńczykach (które u nas konsumujemy w postaci smacznych konserw), następnie o potężnych piłach, a wreszcie o drapieżnych rekinach.

Już połów tuńczyka wymaga od amatora — nielada wędki, składającej się z 2-metrowego bambusowego kija, zaopatrzonego w zwój liny długości conajmniej 800 metrów. Lina ta musi wytrzymywać obciążenie conajmniej 50 kg. Rzecz prosta — nie można tutaj poprzestać na zarzuceniu wędki z brzegu: trzeba wypłynąć na morze w pościgu za temi rybami.

Ale amerykańscy amatorzy a nawet amatorki sportu rybołowczego wyruszają również na walkę z rekinami. Wprawdzie rekiny można łowić do wielkiej sieci, ciągnąc ją na dużej przestrzeni, przyczem ryby te zaplątują się stopniowo coraz bardziej w okach sieci. Ale większe znacznie powodzenie ma połów tych drapieżców morskich przy pomocy harpunów, wyrzucanych na długiej linie ze zwrotnej łodzi.

Ostatnio przyjął się jednak zwyczaj wyrzucania harpuna z rodzaju „karabinu", który pozwala lepiej wycelować w ofiarę a następnie wymaga bez porównania mniej wysiłku od sportowca. Zamiast jego mięśni pracuje tu mechanizm, sprężyna karabinu, przypominającego w działaniu starodawną kuszę.

Ten typ „rybołóstwa" zbliża się bardziej do myśliwstwa, niż do sportu wędkarskiego, który uznawany jest za nawskróś „pacyfistyczne", dające wypoczynek zajęcie.

J. J.

1. „Amazonka" nabija harpun do luty swojej strzelby... Fot. Jacques Boyer.

2. Wnet padnie morderczy strzał...

3. Celnym strzałem został rekin trafiony.

4. A teraz trzeba go wciągnąć przy pomocy harpunu na statek.



2



3



4



NAPISAŁ BOGDAN BRZEZIŃSKI

ILUSTROWAŁ CHARLIE

Gdy mówimy: Afryka — wyobrażamy sobie zaraz albo nieprzebytą dżunglę, naszpikowaną zwierzętami na dziko i czarnymi konsumentami białych podróżników, albo też widzimy oczami duszy bezkresną pustynię.

Zapytano raz pewnego chorowitego podróżnika, jakie wrażenie zrobiła na nim Sahara?

— Tam jest zupełnie, jak w moich nerkach — odparł podróżnik — nic tylko: piasek, piasek, piasek...

Od czasu do czasu można tylko spotkać zasypane karawany. Karawana już w samej nazwie ma coś wspólnego z karawanem... To też podróż przez pustynię jest zawsze ryzykowna.

Tubylcy podróżują przez pustynię na wielbłądach. Beduini naogół mają duże szczęście — z tego choćby względu, że codziennie dotykają garbuska. Gorzej, że dość rzadko udaje im się spotkać kominiarza, a zwłaszcza kominiarza na białym koniu i w cylindrze!

Drugą atrakcją Aafryki jest dżungla.

Co to jest dżungla? Wyobraźmy sobie Ogród Saski w Warszawie, albo Park Stryjski we Lwowie, lub Lasek Wolski w Krakowie, tylko jakieś kilka tysięcy razy większy, parę razy gęstszy i napełniony nie wiewiórkami, lecz panterami, wężami i innemi groźnemi okazami z ogrodu zoologicznego.

W dżungli mieszkają ludzie, którym czarownicy przepisali białe mięso. To też pilnie polują na białych podróżników i natychmiast włączają ich do menu.

Bywają jednak wypadki, że biali ludzie, podróżujący po najbardziej niebezpiecznych okolicach Afryki, unikają śmierci z rąk ludożerców.

Pewien podróżnik opowiadał mi naprzykład, że cudem uniknął transformacji w zraziki po węgiersku, dzięki temu, że kacyk był — jaroszem!

Ale takie szczęśliwe wypadki zdarzają się dość rzadko.

Naogół stosunki między tubylcami a Europejczykami są dość naprężone. Czarni, nieoświeceni murzyni nie zdają sobie widać sprawy z zaszczytu, że mieszkają w kolonjach europejskich i że są obywatelami potężnych i sławnych europejskich mocarstw!

W Afryce jest sławne w historji państwo— Egipt. Egipcjanie mają olbrzymią rzekę — Nil.

Są optymistami. W Egipcie właśnie powstało przysłowie: „N i l d e s p e r a n d u m", co znaczy, że nie należy desperować, dopóki płynie Nil i użyźnia grunta.

Nad Nilem wygrzewają się wielkie gady, oprawione elegancko w krokodylową skórę, ale bez monogramów. Tu i ówdzie na pustyniach egipskich widnieją piramidy, oraz sfinksy. W piramidach znajdują się grobowce nieboszczyków faraonów, spoczywających w charakterze mumij.

Naogół w Egipcie jest sporo symbolów milczenia. Mówi się:

— Milczy, jak mumja!

Albo też:

— Tajemniczy, jak sfinks!

Tak więc zabytki górnej i chmurnej przeszłości Egiptu przypominają Egipcjanom o mądrem przysłowiu, że — milczenie jest złotem.

Afryka jest ulubionym terenem niektórych reżyserów amerykańskich. Tu rozgrywają się mrożące krew w żyłach „dramaty egzotyczne", z udziałem trzech lwów i dwóch tygrysów z wędrownego cyrku, oraz muskularnego Tarzana, zabijającego jedną ręką hipopotama, a drugą uwodzącego piękną dziewczynę.

Tarzan, bliski krewny Mowgli'ego, z „Księgi dżungli", ma zwykle znajomego słonia, na którym jeździ tu i ówdzie, dopóki nie pojawi się wyprawa amerykańska z roztargnionym profesorem na czele. Roztargniony profesor przez roztargnienie zabrał na wyprawę swą wychowanicę, piękną dziewczynę, krew z mlekiem skondensowanem, o oczach jak chabry, a ustach, jak pęknięty owoc ręcznego granatu.

Wyprawa znajduje się w opresji, a Tarzan znajduje wyprawę. Oczywiście — dzikus w lamparciej skórze bez wahania oddaje swe dzikie serce białej bogince i przez dalszych 8 aktów uczy się angielskiego, ze szczególnem uwzględnieniem zwrotu: „I l o v e y o u".. W przerwach ratuje wyprawę, narazie jeszcze nie ślubną, z rąk autentycznych ludożerców. Mniej więcej po upływie półtorej godziny od chwili rozpoczęcia wyświetlania filmu — Tarzan udaje się z wyprawą do Stanów Zjednoczonych, zjednoczony z wychowanicą profesora, aby znów za kilka miesięcy znaleźć się w dżungli i zacząć swoją historję od nowa...

W Afryce południowej żyją lekkomyślni ludzie, którzy kopią diamenty. Doprawdy trzeba być wyjątkowo lekkomyślnym, żeby k o p a ć tak cenne przedmioty!

Raz do roku, latem, pisma całego świata donoszą, że w Afryce Południowej wykopano diament wielkości głowy dziesięcioletniego chłopca. Taki diament jest wężem morskim, wielkości kaczki dziennikarskiej.

Ze zwierząt afrykańskich na szczególne wyróżnienie zasługuje żyrafa, która zgóry patrzy na inne zwierzęta, nawet na lwa, który jest prezydentem zwierząt.

Poza tem interesujący jest struś. Jest on symbolem gościa restauracyjnego, gdyż ma strusi żołądek.

Osobliwością Afryki jest mucha tse-tse. Roznosi ona zarazki śpiączki. Uśpić kilku murzynów — to dla niej... mucha! Jest ona najtańszym, ale zarazem najskuteczniejszym środkiem nasennym.

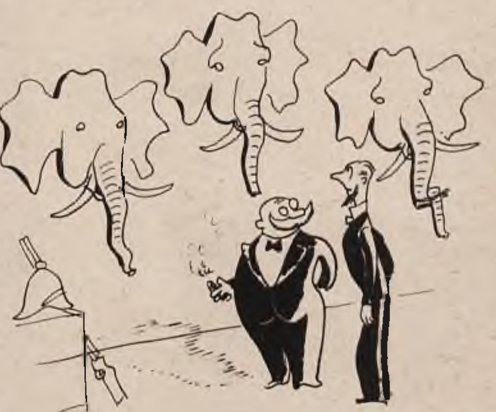
Wśród murzynów w głębi Afryki panuje wielożeństwo. Zamożniejsi murzyni kupują sobie po kilka żon, zostawiając te starsze... — na czarną godzinę.

Naogół murzyni są pogodnego usposobienia, lubią tańczyć nasze modne tańce i słuchać dobrej jazzowej muzyczki. Mieszkają w okrągłych chatach, dzięki czemu nie mają po kątach śmieci.

Sztuka murzyńska polega na tem, że jest wielką sztuką być ciemnym murzynem, a wyrzeźbić jakąś ciekawą figurkę! Murzyni są bardzo przesądni. Wierzą, że trzynastego w piątek to pechowy dzień. Dlatego też nie używają kalendarzy, żeby nie zwracać uwagi na te fatalne daty...

Niektórzy murzyni walczą w turniejach atletów, jako mistrzowie Afryki. Są bardzo dzicy, irytują galerję, usiłują pogryźć kolegę, z którym walczą, poczem udają się do dancingu, gdzie zjadają sznycel po wiedeńsku i tańczą takiegoż walczyka.

Murzyni telegrafują przy pomocy bębnów. Depesze gratulacyjne nadają na specjalnych ozdobnych bębnach....



— To pan polował wyłącznie na słonie?
— Tak, mniejszej zwierzyny nie udawało mi się nigdy trafić.



— Ile kosztuje nadanie depeszy?
— Po trzy centimy za jedno uderzenie tam-tamu...



— Możebyś spróbował przekonać ich, że kuchnia jarska jest o wiele zdrowsza...

WIEKI ZAKLĘTE W KAMIENIU



Od pirogi do „Queen Elisabeth"





„Santa Maria" i pięć nowoczesnych kolosów transatlantyckich.

Na lewo: Wierna kopja żaglowca „Santa Maria", na którym Kolumb przepłynął z Europy do Ameryki.

Jeśli mamy wierzyć archeologom, to pierwsze ogniska cywilizacji ludzkiej znajdowały się nad wodą. Rzeka umożliwiała komunikację stosunkowo łatwą i zdaje się, że już wtedy słuszne było powiedzienie o podróżach, które kształcą. Horyzont człowieka pierwotnego rozszerzał się, gdy poznawał inne strony, inne warunki życia, innych ludzi. Właściwie pozostało to tak do dnia dzisiejszego. Przysłowie rzymskie „navigare necesse est, vivere non necesse" okazało się trafne i przetrwało o wiele setek lat samo istnienie państwa rzymskiego. Dzisiaj jedne narody walczą o panowanie na morzu a drugie bronią swego kawałka wybrzeża morskiego, jak największej świętości, bo tak im dyktuje ich instynkt samozachowawczy.

Jak rozwijała się żegluga? Jeśli chodzi o czasy najdawniejsze obracamy się w kręgu tylko domysłów, kiedy człowiek zauważył poraz pierwszy, jak muszka usiadła na listku i dała się unosić falom rzecznym albo jakieś zwierzątko skorzystało z okazji i użyło pnia pływającego na rzece jako środka lokomocji — postanowił z tej obserwacji wyciągnąć praktyczne wnioski, tak narodziła się żegluga. Początkowo używano oczywiście bardzo prymitywnych łodzi. Jak o wielu innych zdarzeniach z przeszłości tak i w tym wypadku wnioskujemy z tego co możemy dziś zaobserwować u ludów, znajdujących się na prymitywnym stopniu rozwoju. Zapewne posługiwali się także praszczurowie dzisiejszych ludów cywilizowanych pirogami, czyli pniami wydrążonemi. W niektórych częściach świata jeszcze dzisiaj ten rodzaj łodzi jest podstawową częścią taboru rzecznego. Na jeziorze Tana w Abisynji dziś jak przed 5000 laty jest w użyciu łódź, wykonana z długich łodyg papirusu w wiązkach. Taka łódź służy tylko przez 1 tydzień. Potem tak nasiąka wodą, że niczego nie uniesie. Wtedy się ją wyrzuca i buduje nową. Podobnej łodzi używają w Ameryce Południowej na jeziorze Titicaca między Boliwią a Peru. W Chinach na rzece Hoangho jeszcze dziś używa się łodzi skombinowanej z tratwą. Składa się ona z szeregu prętów podłużnych i poprzecznych, tak złożonych ze sobą, że tworzą dość duży prostokąt, długości kilku metrów i szerokości około 1.5 m. Tratwa spoczywa na kilkunastu workach ze skóry bydlęcej, wypełnionych wełną i oprócz tego jeszcze nadmuchanych powietrzem dla większej sprężystości. Sposób ten jest bardzo prymitywny, ale praktyczny.

W miarę rozwoju statków i łodzi tworzyły się coraz większe państwa. A więc w starożytności położone głównie nad brzegiem rzek lub nad wybrzeżem morskim. Coraz bardziej udoskonalano formę łodzi, powstawały okręty o linjach już bardziej dostosowanych do pokonywania oporu wody. Wdół rzeki podróżowało się bardzo łatwo. Trudniejsza była sprawa, gdy trzeba było płynąć w górę rzeki, lub gdy na morzu musiano pokonywać siłę wiatru. Wiosła i ster oraz żagiel stały się nieodzownemi środkami pomocniczemi. Rozwój żeglugi jest ciekawym przykładem zastosowania pracy zespołowej. Tylko liczne grupy wioślarzy, słuchające wiernie każdego skinienia komendy, mogły dokonywać wysiłku, potrzebnego przy poruszaniu wielkich statków. Była to praca ciężka i przez długie wieki używano do niej niewolników. Z drugiej jednak strony władca takiej flotyli mógł ruszać na podboje i prócz łupów i terenów zdobytych zazwyczaj wracał z wielką ilością nowych niewolników, nowej siły roboczej.

Tylko państwa, i narody, które w czasach starożytnych zdołały wytworzyć sobie silną flotę, odgrywały większą rolę w historji. Świadczy o tem historja Grecji, Rzymu, Kartaginy i td. W czasach średniowiecznych Wikingowie skandynawscy i Normanie wytyczali szlaki historji. Tworzyli państwa, ujarzmiali ludy, szybko przerzucali się z miejsca na miejsce, roznosili kulturę lub ją niszczyli. Żegluga stała się prawdziwym „spiritus movens" historji. Właściwie możnaby powiedzieć, że czasy nowożytne zaczęły się od chwili wynalazku kompasu, który umożliwiał oddalanie się od brzegów starego kontynentu i odkrywanie nowych części świata. Tak doszło do odkrycia Ameryki przez Kolumba w r. 1492. Straciły swoje znaczenie morza zamknięte, ucierpiała potęga handlowa Wenecji nad morzem Śródziemnem i miast hanzeatyckich na Bałtyku. Powstały nowe potęgi, nowych władców mórz: Anglji, Portugalji, Hiszpanji, Niderlandów i Francji.

I pomyśleć, że wszystkich tych zdobyczy i odkryć dokonano przy pomocy prymitywnych brygów i barek, których załoga zwykle składała się z rzezimieszków i mało różniła się od okrętów pirackich. Nic dziwnego, iż załoga „Santa Marji" buntowała się przeciw Kolumbowi, który z trudem zdołał ją nakłonić do kontynuowania podróży na zachód po dwumiesięcznym żeglowaniu. Ostatecznie jednak można zrozumieć, że wyczerpuje się cierpliwość ludzi nawet do największych niewygód przyzwyczajonych. Bo przypomnijmy sobie warunki życia na takim statku. Ciasnota niesłychana. Hamaków jeszcze nie znano; dopiero w Ameryce po raz pierwszy się z nimi spot-

kano. Gdy po całodziennym trudzie człowiek upadał ze zmęczenia, legł gdzie mógł znaleść kawałek miejsca. Wody do picia było tylko „na lekarstwo". Zabierana w beczkach po kilku dniach stała się właściwie zupełnie niezdatną do użycia. Na szczęście zazwyczaj nie brakło piwa. Jedzenie składało się głównie z solonych ryb; innych konserw jeszcze nie znano. Podróżować na takiej łupince, tygodniami całymi nie widzieć lądu i nie wiedzieć właściwie, czy się go kiedykolwiek zobaczy, być zależnym od wiatru i pogody, wszystko to razem tworzyło warunki, w których załamałby się niejeden twardy charakter. Jeśli mimoto dokonywano takich odkryć zapomocą zwykłych żaglowców, to podziwiać należy hart ducha i wytrwałość ludzi ówczesnych.

Nowa epoka nastała w r. 1807, kiedy po raz pierwszy statek „Cleremont" Fultona użył napędu parowego do komunikacji pasażerskiej w zatoce Hudsońskiej pod Nowym Jorkiem. Nastały złote czasy żeglugi parowej. Żaglowce, do niedawna jedyni władcy morza, musiały stopniowo ustępować miejsca parostatkom. Początkowo statek parowy poruszał się po wodzie dzięki kołu łopatkowemu. Był to jednak rodzaj napędu nieodpowiedni dla żeglugi morskiej, przydatny raczej dla statków rzecznych o małem zanurzeniu. Mimo to jednak takim statkiem parowym w r. 1819 pod nazwą „Savannah" przebyto po raz pierwszy Atlantyk.

Właściwy rozwój żeglugi parowej rozpoczął się jednak dopiero od r. 1829, kiedy wynaleziona została przez Ressela śruba okrętowa. Pierwszy śrubowiec przepłynął Atlantyk jednak dopiero w r. 1844. Teraz dopiero można było mówić o podróżach oceanicznych, zaczęła się walka o niebieską wstęgę oceanu, konkurs linij okrętowych i parowych, walczących o prym pod względem szybkości przepłynięcia Atlantyku. Nie możemy oczywiście zapomnieć o stałym rozwoju maszyny parowej, który umożliwił wytwarzanie większych jednostek okrętowych i osiąganie większych szybkości. Umacniają się państwa kolonjalne, konkretyzują się dążenia metropolij coraz szybszych połączeń z kolonjami, powstaje w 1869 r. kanał Sueski, rozpoczęty przez Negrellego i zbudowany przez Lessepsa. Trzeba było jeszcze blisko pół wieku czekać na otwarcie kanału panamskiego. W międzyczasie wynaleziono i udoskonalono kompas rotacyjny w r. 1904. Odkryto biegun północny i południowy i po

215 m. Po wojnie początkowo najdłuższy był francuski „Ile de France", którego długość wynosiła 250 m, a obecnie dzierży prym „Normandie", której długość wynosi blisko 315 m. Jest ona o 10 m dłuższa od „Qeen Mary", z którą ma jednak jednakową szerokość tj. 36 m. Za to „Queen Mary" posiada większą moc, wynoszącą 200.000 KM. Przy tak wielkiej mocy szybkość około 30 węzłów, czyli około 55.5 km na godzinę mogłaby się wydawać niezbyt wielka. Nie wynosi przecież nawet ona tyle, co szybkość pociągu pospiesznego. Tymczasem w stosunkach żeglugi morskiej szybkość taka uważana jest za wprost rekordową. Większe szybkości spotykamy jedynie w marynarce wojennej, gdzie największe pancerniki pokrywają w godzinie około 32 węzłów, a mniejsze jednostki do 45 węzłów. Światowy rekord na maleńkiej łodzi motorowej wynosi około 125 węzłów.

Jakże daleko odbiegliśmy od małej 120 tonowej „Santa Marja", na której Kolumb po raz pierwszy wyruszył do Ameryki! Podróż „Santa Marji" trwała trwała 70 dni, podczas gdy dzisiaj przebywa się Atlantyk w 4 dniach. Kolumb był zdany na łaskę wiatru, dzisiaj jako źródło napędu panuje jeszcze ciągle para, chociaż coraz mniej jest dawnych maszyn parowych tłokowych, a coraz więcej turbin parowych, pod znakiem których stoi wiek XX .Prócz tego mamy

Poniżej: Okręt admiralski pierwszej angielskiej fregaty kolonjalnej.



na wielkim transantlantyku jest wypoczynkiem. Przeciętnie wypada 1 człowiek załogi na 2 pasażerów. Tak np. na „Queen Mary" jest 300 marynarzy, a 800 osób personalu właściwie hotelowego, a to wszystko dla 2100 pasażerów, notabene jeśli jest komplet. W kuchni samej zatrudnionych jest ponad 100 kucharzy. Ael nie dziwimy się. Przecież taki okręt, to pływające miasto. Ilość prądu elektrycznego, zużyta na takim okręcie starczyłaby dla miasta o 200.000 mieszkańców. Każdy ruch kolosa kosztuje tysiące. Jeden obrót w porcie kosztuje ponad 10.000 zł. a śruby okrętu ważą po 35 ton, a ster 130 ton.

Nie będziemy tu oczywiście wyliczali wielkości innych urządzeń, a więc ile żarówek, wody do picia, zapasów żywności musi zabierać nowoczesny transatlantyk. Nie będziemy mówili o tem, jak bardzo wzrosło bezpieczeństwo nowoczesnej żeglugi morskiej, nietylko dzięki zaopatrzeniu w łodzie ratunkowe, ale przedewszystkiem dzięki służbie radiotelegraficznej. Przypomnimy jeszcze tylko, że pracuje się nieustannie nad ulepszeniem warunków żeglugi. I chociaż od r. 1821, tj. od czasu pierwszego żelaznego parowca pod nazwą „Aron Mauby" żelazo jest prawie jedynem tworzywem, używanem do budowy statków, to jednak pojawiają się od czasu do czasu projekty zastosowania innych materjałów. A więc wspomnijmy o pogrzebanym już zresztą projekcie budowania statków z betonu. Coraz więcej mówi się o statkach z materjałów plastycznych, tzw .sztucznych żywic, które miałyby zaletę lekkości i większej jeszcze odporności aniżeli metale lekkie, które ostatnio coraz częściej stosuje się zresztą do wyposażenia wewnętrznego wielkich okrętów.

Naogół można jednak powiedzieć, że dążenie do rekordów wielkości i szybkości transatlantyków zdaje się przemijać. Z całego szeregu względów a przedewszystkiem gospodarczych, buduje się więcej okrętów średniej wielkośic o wyporności około 15.000 do 20.000 ton, które również zapewniają pasażerom te same wygody, co wielkie transatlantyki. Zupełnie nowe horoskopy otwierają się przed żeglugą morską przez skombinowanie jej z lotnictwem. Wszak już teraz większe okręty wyposażone są w katapulty, służące do startu samolotów z okrętu w niedużej odległości od wybrzeża. Może to skrócić czas przejazdu o kilkadziesiąt godzin.

Inż. A.



Pierwszy parostatek śrubowy „Great Britain" 1845.

Poniżej: Imponujące są rozmiary śruby dzisiejszego olbrzyma morskiego, która waży 35 tonn.



raz pierwszy użyto turbin parowych zamiast maszyny parowej w r. 1895.

Przez długi czas niebieska wstęga oceanu należała do angielskiej „Mauretanji", która w r. 1929 pobiła swój własny rekord szybkością 26 węzłów. Po „Mauretanji" przyszła kolej na niem. „Bremen", włoskiego „Rexa", a dzisiaj błękitna wstęga przechodzi właściwie z rąk do rąk, należy naprzemian do francuskiej „Normandie" i ang. „Quen Mary", które osiągnęły szybkość ponad 30 węzłów.

Długość okrętów również coraz bardziej wzrastała. W latach dziewięćdziesiątych ub. stulecia najdłuższy był statek angielski „Oceanic". Długość jego wynosiła około

teraz coraz więcej motorowców, jak np. „Piłsudski" i „Batory", obywających się bez kotłów i turbin parowych, których źródłem napędu jest motor spalinowy dieslowski.

Wspomnieliśmy wyżej o niesłychanych niewygodach, z któremi połączona była podróż morska w wiekach dawniejszych. Dzisiaj podróż

NOWICJUSZ NA WODNEJ WŁÓCZĘDZE



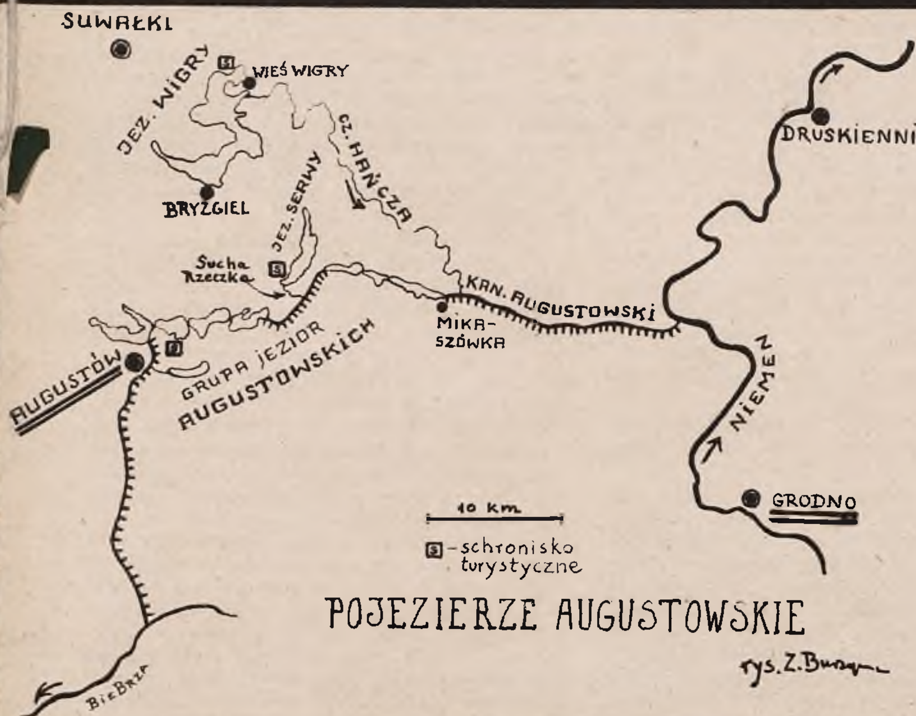
Tratwy na Czarnej Hańczy.







Od lewej: Namiot daje nam podczas wycieczki złudzenie wygodnego domu. — Przejazd z jeziora Serwy na jezioro Wigry odbywa się przy pomocy chłopskiej furki. — Fragment Kanalu Augustowskiego. **Zdjęcia: Roman Burzyński.**



J ak zorganizować wycieczkę kajakiem? Oto pytanie, które zadają sobie dzisiaj nowicjusze turystyki wodnej i entuzjaści kajakowej włóczęgi.

Jednodniowy spacer kajakiem w niedzielę za miasto nie nastręcza żadnych trudności. Wystarczy mieć kajak, dwoje mocnych rąk do wiosłowania i... miłą towarzyszkę! Zupełnie co innego wybrać się kajakiem na cały tydzień lub dwa. Zjawiają się nieprzewidziane trudności, niepokojące pytania, na które — zwłaszcza początkujący — nie znajdują nigdzie odpowiedzi.

Odpowiedzi zresztą nikt dać nie może. Wyobraźmy sobie, iż ktoś bardzo niezdecydowany przybywa do biura podróży z zapytaniem:

— Jak i dokąd wyjechać na lato?

Przy najwytrawniejszej obsłudze, zapytany pracownik biura podróży musi na pytanie odpowiedzieć wieloma pytaniami: ile ma pan (pani) czasu, jaką kwotą pan rozporządza, czy chce pan pojechać na południe, czy na północ, być w kraju czy zagranicą, jechać koleją czy statkiem?

To samo dzieje się przy wycieczce kajakiem. Inaczej się ją organizuje przy skromnych funduszach, inaczej, gdy trzeba liczyć się z każdym groszem. Inaczej przy wyjeździe na tydzień, w najbliższą okolicę od miejsca stałego zamieszkania, inaczej w odległy zakątek kraju.

Rozpatrywanie wszystkich tych możliwości byłoby... bardzo nudne... Feljeton, który musi mieć nastrój wiosenny, przemieniłby się w encyklopedyczne wyliczenie wszystkich potrzebnych na dłuższą wycieczkę przedmiotów, w opis wielu przygotowań i rad. Znam zapalonego turystę-kajakowca, który niejedną już odbył dłuższą wycieczkę, za każdym razem uzupełniając swój ekwipunek turystyczno-kajakowy. Chwalił się przedemną tego roku, iż w kajaku swym — wliczając takie pozycje jak: maszynka spirytusowa, namiot, motor przyczepny, latarka elektryczna, aparat fotograficzny, łopatka i dwie talje kart do bridża etc. — wozi łącznie... 156 różnych przedmiotów. Wszystkie nieodzownie potrzebne. Wyliczenie tych przedmiotów, gdybyśmy się chcieli wzorować na owym starym wydze wodnym, zajęłoby dwie strony „Asa". To stanowczo przesada!

Przyjmijmy następujące założenie: mamy dwa tygodnie czasu. Chcemy koniecznie oderwać się od najbliższej naszej rzeki, którą znamy z niedzielnych tradycyjnych wycieczek podmiejskich. Chcemy odbyć wycieczkę bardzo ładną i zupełnie bezpieczną, dostarczającą jednak pewnych emocyj. Posiadamy kajak, namiot i około 200 zł do dyspozycji. Dokąd wyjechać?

Na Jeziora Augustowskie!

Odbędziemy tę wycieczkę narazie w sposób najłatwiejszy i najbezpieczniejszy — wzrokiem po załączonej mapce. Przy tej okazji przekonamy się, iż... pierwsze kłopoty i obawy dadzą się łatwo przezwyciężyć. Że bez specjalnego trudu dzisiejsza wycieczka imaginacyjna zmienić się może już w najbliższych tygodniach w realne i czarujące przeżycie.

Wycieczka kajakiem ma swój wielki urok wówczas, gdy przebędziemy ją wzdłuż pewnej określonej trasy. Naszą turę zaczniemy wobec tego w Grodnie, skąd rzeką Niemnem i Kanałem Augustowskim dostaniemy się do grupy Jezior Augustowskich. Wędrówkę skończymy w Augustowie. A więc trasa: Grodno—Augustów.

Trasa ta liczy wraz z wypadem „w bok" na jezioro Wigry i Czarną Hańczę 220 kilometrów. Wypada więc na przejazdy średnio około 17 kilometrów dziennie. Większych tur — zwłaszcza początkując w turystyce wodnej — nie należy przewidywać, zwłaszcza, że trzeba zawsze odliczyć 25 proc. dni wycieczki na niepogodę i nieprzewidziane dłuższe postoje. Poza tem są tu dłuższe odcinki wzdłuż jezior, gdzie nie można „spływać", lecz trzeba pracować wiosłem. Dużo czasu zabiera też przejazd przez śluzy Kanału Augustowskiego.

Jak dostać się do miejsca startu, do Grodna? Poprostu — koleją. Kajak — w miejscu jego postoju — ładujemy na... dorożkę konną i zawozimy na dworzec kolejowy. Kolej popiera turystykę i zezwala na przewóz kajaków pociągami osobowymi i pospiesznymi, licząc za



Na lewo: Malowniczy fragment Grodna.



Powyżej: Kobieta i motor kajakowy to najmilsi towarzysze na wodnej wycieczce!

nie pół ceny. Jeśli więc kajak waży np. 40 kg, płaci się zań jak za bagaż o wadze 20 kg.

W Grodnie dorożką, lub furką udajemy się nad Niemen. Grodzieńskie kluby wioślarskie są bardzo gościnne i z chęcią przyjmą nas wraz z kajakiem na nocleg.

W mieście uzupełniamy nasze zapasy. Musimy się z tem liczyć, iż po drodze aż do samego Augustowa, spotykać będziemy jedynie małe wiejskie sklepiki, w których poza chlebem, cukrem i produktami wiejskimi mało co znajdziemy. Zakupimy więc w Grodnie konserwy mięsne, kostki buljonu, suszone jarzyny (na zupę jarzynową), duży słoik jamu, miodu, słodycze i papierosy. Nie zawadzi duża blaszanka dwu, a nawet pięciolitrowa spirytusu do palenia do naszej maszynki spirytusowej. To jest artykuł, którego czasem może na wsi zabraknąć.

A teraz jazda Niemnem w dół rzeki! Prąd na Niemnie dość szybki. Bez trudu mijamy 31 kilometrów pięknych wysokich brzegów. Po lewej stronie, wśród cienistych drzew nie bez trudu odnajdujemy wjazd do Kanału Augustowskiego. Tu czeka nas pierwsza większa emocja — przejazd przez śluzę. I to w dodatku trzykomorową.

Otwierają się przed nami olbrzymie wrota. Wjeżdżamy w nie kajakiem, i zatrzymujemy się w komorze śluzy. Wrota powoli za nami się zamykają. Do wnętrza komory zaczyna z hukiem napływać woda. Unosi nas wraz z kajakiem ku górze. Dopóki nie oswoimy się z sytuacją, wydaje nam się taka wodna winda dość niepokojącą. Wkrótce jednak zaczyna nam się to podobać. Osiągnąwszy przepisaną wysokość, wjeżdżamy przez następne wrota do drugiej, wreszcie do trzeciej komory. Tu, po napełnieniu komory wodą, otwierają się przed nami drzwi sezamu — drzwi Kanału Augustowskiego. Wjeżdżamy! Za nami, w dole, Niemen. Przed nami droga do najpiękniejszego zakątka Polski — jezior i puszczy Augustowskiej...

Lecz zjawia się zwolna nowy wielki problem: pierwszy nocleg „w terenie". Umówiliśmy się na wstępie, iż zabieramy ze sobą namiot. Ale namiot do wygodnego noclegu nie wystarczy. Nawet pled i „jasiek" to za mało. Stanowczo trzeba mieć prócz tego pod sobą coś miękkiego...

Jeśli nie posiadamy ze sobą materacy do nadmuchiwania powietrzem (są doskonałe w cenie 32 zł za sztukę), trzeba postarać się o legowisko. W tym celu praktycznie jest rozbić wieczorem obozowisko w pobliżu osady ludzkiej, lub przy domku śluzowego (strażnika śluzy) i pożyczyć od „tubylców" wiązkę słomy, którą wymościmy namiot. Rano słomę oddamy jej właścicielowi, wręczając niewielki napiwek.

Gdy obudzimy się następnego dnia rano, mamy już poza sobą dwa poważne doświadczenia: pierwszą śluzę przebytą i pierwszy nocleg w namiocie. Możemy teraz śmiało wkroczyć w krainę jezior.

Czeka nas jeszcze — jedyny zresztą ciężki etap — pierwsze 30 kilometrów Kanału Augustowskiego, tj. odległość pomiędzy pierwszą śluzą a wsią Mikaszówka, leżącą nad brzegiem pierwszego z jezior Augustowskich, jeziora Mikaszewskiego. Jedziemy tu pod prąd, a często spotykane śluzy opóźniają bardzo posuwanie się naprzód. Na przebycie drogi od II-giej śluzy do Mikaszówki (zaledwie 21 km!) trzeba 5—6 godzin czasu. Na szczęście jest to przepiękna droga, wśród malowniczych brzegów. Chwilami zdaje się, iż płyniemy ścieżką pięknego, cichego parku.

Na wycieczce kajakowej wskazany jest od czasu do czasu... dłuższy namysł. Pierwszy raz zastanawiamy się w Mikaszówce, gdzie zakupić możemy coś nieco towarów. Drugi raz, zaraz za śluzą „Gorczyca", u ujścia Suchej Rzeczki. Tu bowiem rozstrzygnie się, czy mamy czas i ochotę na przeprawę na jezioro Wigierskie oraz na przejazd Czarną Hańczą. To zboczenie z drogi zabierze nam bowiem całe cztery dni, lub więcej. Napewno więcej! Jezioro Wigry jest jednem z najpiękniejszych w Polsce. Czarna Hańcza jest wcieleniem romantyzmu. Kto tam raz pojechał, nie omieszka tam powrócić!

Przejazd na Wigry trzeba obmyśleć rozsądnie. Najpierw z Suchej Rzeczki przenosimy (własnoręcznie!) kajak na jezioro Serwy. Tu — po ewentualnym noclegu w schronisku, przewozimy kajak i... siebie chłopską furką do wsi Bryzgiel, leżącej na południowym brzegu jeziora Wigry. Nie należy się obawiać tego przejazdu. Miejscowi wieśniacy niejedną kopę kajaków przewieźli już z Serw do Bryzgla. Czynią to nawet tak umiejętnie, iż zaproszą nas do zajęcia miejsc wewnątrz kajaka w czasie przejazdu lądem. Będziemy tam siedzieli dumnie jak w powozie, zadowoleni, że raz nie my machamy wiosłem, lecz że koń czyni tosamo z niemniejszym wdziękiem... ogonem.

Na Wigrach warto posiedzieć trochę dłużej. Wybieramy w tym celu jedną z licznych wysepek i „anektujemy" ją na swoje wyłączne królestwo. Możemy ją nazwać swą kolonją, obszarem życiowym, protektoratem, wszystko jedno jak — jest wyłącznie nasza!

Z radością lądujemy i wyładowujemy swe graty. Nie należy się jednak spieszyć. Bo w tem coś... bęc i plusk... do wody. Co to? Podręczna walizeczka. Wypadają z niej różne cenne przedmioty. Niektóre wyłowi się nurkując, ale inne przepadają. Może w ten sposób zginąć np. szczoteczka do zębów, co będzie wydarzeniem... radosnem. Można nareszcie, z czystem sumieniem, nie pamiętać co wieczór o myciu zębów. Ale co będzie, gdy wpadną do wody papierosy?

W północnym kraju Wigier znajduje się mnóstwo ciekawych objektów. Bardzo miłe schronisko, kościół, z którego wieży roztacza się wspaniały widok na jezioro, wieś z kilkoma sklepikami i — wypływ Czarnej Hańczy.

Czarna Hańcza... Marzenie tysięcy zabijaków wodnych, natchnienie poetów, bohaterka rozkosznej powieści Wandy Miłaszewskiej p. t. „Czarna Hańcza". Rzeka przygód i wzruszającej ciszy, spełnionych tęsknot i niewysłowionej radości.

Spływamy z prądem Hańczy z powrotem do Kanału Augustowskiego. Powtarzamy znany nam już krótki odcinek Mikaszówka — Sucha Rzeczka, poczem zaraz za śluzą „Swoboda" dostajemy się jeszcze w jeden nowy i zupełnie inny świat. W krainę wielkich jezior Augustowskich. Jeziora: Studzienniczne, Białe, Rozpuda i Necko.

Tu nie trzeba przewodnika i rad, nieco tylko ostrożności, by nie wyjeżdżać na jezioro przy zbyt wysokiej fali. Płyniemy z jeziora na jezioro, z oceanu na ocean, i za każdym razem stwierdzamy, jak pięknym jest świat, którego dotychczas nie znaliśmy. Żal nam lat ubiegłych, kiedy to nie przypuszczaliśmy, iż można się odważyć na większą niż jednodniową wycieczkę wodną.

Mimo, iż przejechaliśmy sumiennie przez całe pojezierze Augustowskie, znajdą się tutaj liczne piękne zakątki, pominięte w naszej wędrówce. Odłożymy je sobie na następny raz. Będzie to przedewszystkiem wypad Niemnem do Druskienik, oraz wielki rajd wodny z Jezior Augustowskich na Wisłę. Zwłaszcza ten drugi plan jest bardzo pociągający. Jedzie się od Augustowa kanałem do Biebrzy, Biebrzą wśród słynnej „puszty biebrzańskiej" do Narwi, Bugu, wreszcie Wisły. Na upartego można się stąd dostać do Gdańska, do Bydgoszczy, do Poznania, przez Gopło i Wartę... Na takie dłuższe wycieczki warto już będzie zaopatrzyć się w mały przyczepny motor kajakowy. Nie każdy wie, że — o ile kilka lat temu motorek kajakowy był luksusem (kosztował około 700 zł — były to motory zagraniczne), o tyle dzisiaj mamy już własne polskie motory kajakowe, których cena wynosi zaledwie 350 złotych. Taki motorek jest wspaniałym towarzyszem wycieczki. Pomyślmy: ma dwa konie motorowe. A przecież — wiosłując, mieliśmy do dyspozycji... tylko jednego „konia"... siebie!

Narazie jednak, dopóki nie spełnią się plany na przyszłe lata, kończymy naszą dzisiejszą wycieczkę w Augustowie. Znów załadowanie do pociągu...

Na stacji kolejowej w Augustowie przyglądamy się poczciwemu kajakowi. Niejedną ma rysę na swym jasnym lakierze. To pamiątki po naszych przygodach. Otarcia o mostki, o zarośla, przeprawy przez tratwy zagradzające czasem drogę...

A więc — jedziemy?

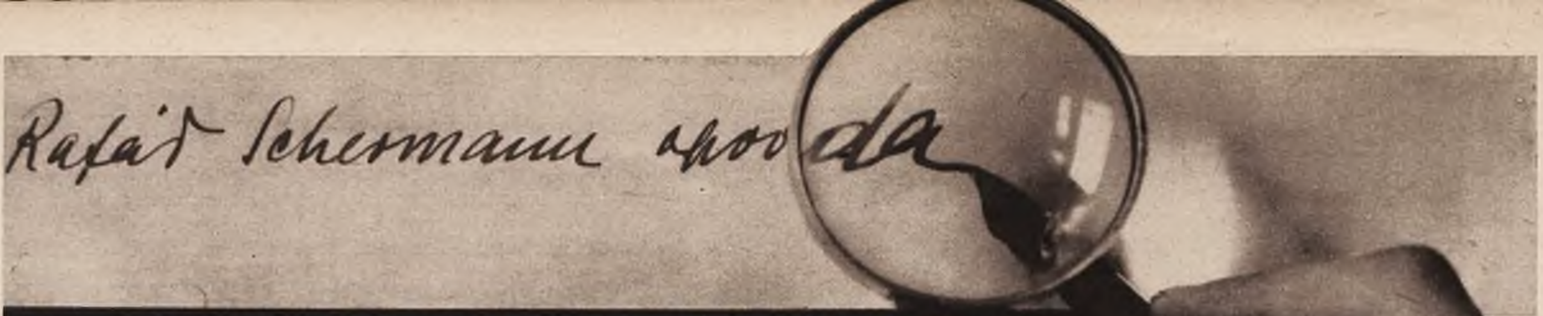
Ja jadę w lipcu po raz trzeci. Kto ze mną?

Mgr. Roman Burzyński.





Od lewej: Śluza w Kanale Augustowskim, którą woda wypełni nieomal po brzegi. — A oto piękny fragment Niemna pod Grodnem.
Zdjęcia: Roman Burzyński.



Z TEKI PSYCHOGRAFOLOGA



AUTORYZOWANE TŁUMACZENIE JANA MALESZEWSKIEGO

W chwili, kiedy przyjaciel młodości znajdował się zapewne już w pociągu, dążącym do Hamburga, odwiedziła mnie pani I. K. Gdy napisała kilka słów na kartce, oświadczyłem jej co następuje:

— Droga pani Ireno! Spędziła pani bezsenną noc, chociaż sypia pani zwykle dobrze. Była pani artystką i pozostała pani nią o tyle, że nie zajmowała się pani nigdy handlowemi sprawami. Z pisma pani jednak widzę, że ostatnio zaczęła pani przeprowadzać pewną transakcję, która przysparza pani dużo kłopotów. Kłopoty te zresztą nie są nieuzasadnione. A teraz niech pani mi opowie, co absorbuje myśli pani?

Wtedy pani I. K. opowiedziała mi szczegółowo swój projekt sprzedania broszki przy pomocy przyjaciela młodości, któremu pomogła swego czasu w ciężkiej sytuacji i umożliwiła emigrację do Stanów Zjednoczonych. W swoich listach nazywała go zawsze jedynym przyjacielem ze starej ojczyzny. Pomimo tych objawów sympatji gnębił ją jakiś dziwny niepokój.

Potwierdziłem obawy, jakie żywiła, gdyż widziałem, że człowiek ten postąpi nieuczciwie. Poradziłem jej, aby przed jego odjazdem postarała się odebrać broszkę. Po tych słowach poprosiłem o ponowne skreślenie kilku wierszy. Brzmiały one następująco:

„Co się stanie z moją broszką?"

Z pisma tego wywnioskowałem, że nadzieja odebrania broszki nie jest zupełnie płonna, chociaż miała ona do niej wrócić dopiero po wielu latach spowodowawszy wiele kłopotów i przykrości.

Po odejściu z mego mieszkania pani I. K. udała się do komisarjatu policji. Komisarjat połączył się telefonicznie z dyrekcją policji w Hamburgu i okazało się, że statek, na którym F. L. płynął, opuścił już port. W takich warunkach trzeba było się pogodzić z faktem.

Zapomniałem o całej sprawie temwięcej, że minęło już kilka lat, aż pewnego razu, było to w czerwcu 1924, otrzymuję od pani I. K. list, opisujący mi dalsze losy broszki i jej właścicielki.

„Wkrótce przekonałem się, że pan słusznie twierdził, iż dr. F. L. broszki nie zwróci. Mimo naglących listów nie otrzymałam ani pieniędzy, ani broszki i wtedy zwróciłam się do dr. A. G. H., żyjącego w Nowym Jorku, prosząc go o interwencję u mojego nieuczciwego znajomego. Dowiedziałam się od dr. A. G. H., że nie mógł niczego konkretnego dowiedzieć się od mego przyjaciela młodości i zaznaczył, że mimo, iż jest przekonany o słuszności mojej pretensji, nie będzie mógł zapewne zmusić dr. F. L. do wydania broszki, nie posiadając dostatecznych dowodów w ręku. W tym stanie rzeczy uważałam broszkę za straconą. Tak przeszedł rok, po którym zameldowano mi pewnego razu wizytę baronowej Heddy Lavalle z Nowego Jorku. Naraz znajduję się w obecności kobiety o wielkiej urodzie. Ledwo weszłam do pokoju, jak przybyła wskazuje na mały stoliczek w moim salonie, na którym leży moja broszka. —

— Przywiozłam to pani z Ameryki — mówi baronowa.

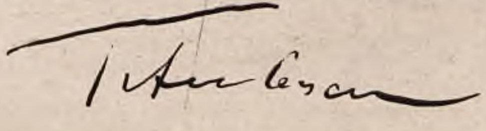
Pani Lavalle jest również Austrjaczką, żyjącą w Ameryce, która słyszała o całej sprawie i postanowiła ją załatwić, chociaż nie znała mnie osobiście. Oświadczyła, iż nie zniesie, aby kobieta została przez nieuczciwego człowieka tak pokrzywdzona. Napisała też do dr. F. L., który w tym czasie przeniósł się do Chicago i został profesorem w jednym z miejscowych zakładów naukowych. Zagroziła mu, że jeżeli nie odda broszki rozgłosi całą sprawę. Pod tą presją dr. F. L. zdecydował się po czterech latach wykupić broszkę z lombardu i oddać ją baronowej Lavalle. W ten sposób broszka zjawiła się jak z nieba, to też zrozumie pan, że jego przepowiednia zrobiła na mnie niezwykłe wrażenie".



Zdjęcie nasze przedstawia chwilę, kiedy Schermann zobaczywszy pismo Kabosa charakterystycznym ruchem rzuca ołówek na ziemię. Obok podpis sławnego szermierza.



Były minister spraw zagranicznych Rumunji Titulescu i jego podpis.



Oczywiście, że ucieszyło mnie ziszczenie się mojego przewidywania. Ale jak do niego doszedłem? Wprawdzie nie przewidywałem wszystkich szczegółów tej sprawy, wiedziałem jednak, że ostatecznie klejnot wróci do rąk właścicielki. W chwili, gdy zobaczyłem przed sobą słowa: „Co się stanie z moją broszką?", zobaczyłem równocześnie ową panią postarzałą o kilka lat i noszącą na piersiach broszkę.

* * *

Z pismem byłego rumuńskiego ministra spraw zagranicznych Titulescu spotkałem się w Karlsbadzie w ciekawych okolicznościach. Zanim opowiem całe zdarzenie z ministrem Titulescu przypomnę inne przeżycie, w którem bohaterem był inny minister spraw zagranicznych, a mianowicie niemiecki mąż sta-

nu Stresemann. Pewnego razu zjawił się u mnie w Berlinie nieznajomy człowiek prosząc mnie o wydanie opinji o piśmie Stresemanna. Nie chciałem wdawać się w tę sprawę z nieznajomym, to też odrzuciłem odrazu propozycję. W kilka godzin później zetknąłem się ze znanym dziennikarzem politycznym René Krausem, który towarzyszył Stresemannowi w jego podróżach. Oświadczyłem mu, że sądząc po piśmie Stresemanna, polityczna jego karjera się skończyła, a jego zdrowie jest jaknajgorsze. Kraus spojrzał na mnie niezwykle zdziwiony:

— Wracam właśnie z Reichstagu i zostawiłem tam Stresemanna zapracowanego po same uszy. Powodzi mu się lepiej, a lekarze są pełni nadziei. Odparłem na to:

— Niech pan się nie da zmylić pozorom. Właśnie przed chwilą widziałem jego pismo. Wiem, że pan jest niezwykle przywiązany do Stresemanna: najlepsza rzecz, jaką pan może zrobić, to zwrócić się do jego żony, prosząc ją, aby użyła wszelkich środków i przekonała męża, że należy zaprzestać tej pracy i nie wracać więcej do ministerstwa spraw zagranicznych. Nie powinien wogóle wychodzić z domu i unikać swego biurka. Jeżeli się do tego nie zastosuje, za dwa do trzech dni nie będzie już żył.

René Kraus obiecał mi, że postara się wykonać moje polecenie. Po dwóch dniach przeczytałem w dodatku nadzwyczajnym o śmierci Stresemanna, a w tym też czasie otrzymałem od Krausa następujący list:

„Czynię sobie najgwałtowniejsze wyrzuty, że nie postąpiłem tak, jak pan mi poradził. Nie poszedłem niestety do pani Stresemann, a jej mąż wyszedł tego dnia i znowu poświęcił wiele godzin ciężkiej pracy. Stało się to, co się stać musiało".

Lepiej ułożyła się sprawa z ministrem Titulescu. Osiemnastego sierpnia 1936 spotkałem się w Karlsbadzie z rumuńskim konsulem generalnym w Czechosłowacji dr. Marcinem Hardenem. Rozmawialiśmy wtedy o stanie zdrowia ministra Titulescu, który od dłuższego czasu chorował ciężko na zatrucie i którego lekarze nie chcieli już leczyć, przypuszczając, że niema dla niego ratunku. W dwa dni później, tj. 20 sierpnia 1936 przesyła mi dr. Harden kopertę z pismem ministra Titulescu. Dnia 19 sierpnia tegoż roku ukazała się w pismach wiadomość o pogorszeniu stanu zdrowia ministra: lekarze oczekiwali rychłego jego zgonu, a w budapeszteńskim „Pester Lloyd" pisano nawet już o jego śmierci.

Djagnoza moja pisma ministra Titulescu została zaprotokołowana i brzmiała następująco:

„Jak atleta, który leżąc na ziemi w ostatniej jeszcze chwili się podnosi, tak też Titulescu nie podda się chorobie. Posiada on niezwykłą siłę woli i ciągle, z każdej sytuacji, powraca do równowagi. Posiada on silny, zdrowy organizm i zdoła zwyciężyć nawet najcięższą chorobę. Chęć życia jest u niego tak potężna, że łatwo natura wspomoże go w tej walce. Jeżeli dzisiaj nie nastąpi zapalenie płuc, wyzdrowieje napewno i będzie się czuł zdrowszy i silniejszy jak poprzednio".

Titulescu wyzdrowiał: jego siła wewnętrzna zwyciężyła chorobę. W połowie listopada 1936 spotkałem się w Pradze z pewnym rumuńskim dyplomatą, który zapytał mnie w obecności redaktora naczelnego „Montags Blattu" dr. Glasera:

— Czy pan uważa, że Titulescu teraz, kiedy wyzdrowiał znowu rozpocznie swoją działalność polityczną?

— Titulescu nie może się obejść bez pracy tak długo jak żyje. Był pewno z zawodu nie politykiem, to też powróci obecnie do swojego poprzedniego zawodu, mimo to jednak żywi najgorętsze życzenie, aby móc w dalszym ciągu służyć swojej ojczyźnie.

Dyplomata rumuński był bardzo zdziwiony i rzekł:

— Tym razem znów pan trafił w sedno: przed kilkoma dniami mówiłem z serdecznym przyjacielem ministra, który oświadczył, że Titulescu podobnie jak grecki premjer Politis poświęci się obecnie swemu poprzedniemu zawodowi jako prawnik, zajmując się sprawami międzynarodowemi.

Dnia 20 stycznia 1937 przyniosły pisma całego świata portret ministra Titulescu, który był już rekonwalescentem. Widzimy go w ubraniu sportowem wśród znajomych w St. Moritz.

*

Powracając z Paryża, zatrzymałem się w lipcu 1936 r. w Budapeszcie, gdzie spotkałem kilku dawnych znajomych. Naczelny redaktor pisma „Szinhaszi Elet" p. Incze zrobił wtedy ze mną ciekawy eksperyment. Posłał bowiem do mnie swojego redaktora sportowego, który przedstawił mi całą sportową drużynę węgierską, mającą się wkrótce udać na olimpjadę do Berlina. Zbadawszy pismo każdego z uczestników, określiłem dokładnie jaki uprawia on sport, m. in. poznałem też słynnego szermierza Endre Kabos i zbadałem jego pismo. Mimowoli zupełnie, patrząc się na jego pismo, podniosłem w powietrzu ołówek i rzuciłem go ostrym ruchem na ziemię. Efekt tego ruchu był nadzwyczajny: całe otoczenie poczęło się śmiać. Oświadczyłem im, że podobnym właśnie ruchem rzuca po skończeniu turnieju Kabos swoją szpadę na ziemię. Jeszcze większe było zdziwienie, gdy przepowiedziałem słynnemu szermierzowi, iż odniesie na olimpjadzie niezwykły sukces, zdobywając złoty medal. W to nie chciano jednak wierzyć, gdyż Kabos był wprawdzie świetnym szermierzem, ale bynajmniej nie najlepszym: w tym zresztą czasie był on zredukowanym urzędnikiem bankowym i założył sobie mały skład owocowy w Budapeszcie Mając inne zajęcia zawodowe, musiał niezwykle wcześnie wstawać, aby móc znaleźć czas na trening.

Cóż się okazało? Gdy w miesiąc później, dnia 18 września znalazłem się w Karlsbadzie i, idąc Alte Wiese czytałem poranne dzienniki, spotkałem się z wiadomością, że Kabos został na olimpjadzie mistrzem świata! „Pester Lloyd" z dnia 17 września 1936 przyniósł opis jego zwycięstwa.

Nie potrzebuję podkreślać, jak bardzo ucieszyłem się ze zwycięstwa Kabosa, które widziałem w piśmie. Powiedziawszy mu, co pismo jego przepowiada na przyszłość, dodałem mu otuchy i w pewnej mierze przyczyniłem się do jego sukcesu. Z przyjemnością też wysłałem do Kabosa telegram gratulacyjny, na który otrzymałem następującą odpowiedź:

„Serdecznie dziękuję za gratulacje. Przepowiednia Pańska ziściła się w pełni. Kabos".

Oczywiście, że sukces odniesiony na olimpjadzie odbił się również w dziedzinie finansowej: po zwycięstwie ofiarowano mu wcale dobrze płatną posadę w jednej z fabryk, wyrabiających żarówki.

* * *

Maks Hayek, pisarz wiedeński, poświęcał się przez wiele lat badaniom psychologicznych fenomenów, a m. in. poświęcił on mojej osobie dwie książki p. t. „Tłumacz pisma Rafał Schermann" i „Tajemnica pisma". O kilku niewytłumaczonych wypadkach, poruszonych przez Hayeka, pozwolę sobie przytoczyć z artykułu z „Neues Wiener Journal" następujące szczegóły: „Jest rzeczą zbędną, abyśmy czytelnikom przedstawiali Rafała Schermanna, gdyż znamy go wszyscy dobrze. Najbardziej jednak ciekawe i niesamowite są te wypadki wyjęte z jego karjery, które wybiegają daleko poza zwykłe eksperymenty grafologiczne, takie, jakie się raz po raz urządza. Nie można ich inaczej wytłumaczyć, jak twierdzeniem Hayeka, który pisze, że są to przykłady czasowego i przestrzennego jasnowidzenia na jawie.

Jednym z takich wypadków jest wydarzenie, które rozegrało się w r. 1916. Praski psychjatra prof. Oskar Fischer, który podobnie jak zmarły uczony wiedeński prof. Maurycy Benedikt bardzo interesował się pracą Schermanna, przedłożył pewnego razu list jednego oficera, który zginął śmiercią nienaturalną. Zobaczywszy to pismo oświadczył Schermann:

— Autor listu umrze gwałtowną śmiercią. Widzę go leżącego pod oknem pokoju, wychodzącego na ogród. Krew płynie po jego policzku: został on zastrzelony przez najlepszego przyjaciela i woła o pomoc.

Zdziwiony słowami Schermanna prof. Fischer opowiedział następnie przebieg tego dramatu; autorem listu był pewien oficer. Zdarzyło się, że najlepszy jego przyjaciel, będący również oficerem powrócił z podróży służbowej i nocą zbliżał się do swego domu. W tej chwili zobaczył jakiegoś człowieka, wychodzącego przez okno, a myśląc, że jest to złodziej, strzelił do niego, trafiając go śmiertelnie. Trafionym kulą był właśnie ów oficer. Najciekawsze w tem jest to, że list pisany był dwa lub trzy lata przed wypadkiem.

O ile w tym wypadku pismo gra główną rolę, tworząc łącznik z osobą, o, którą chodzi, istnieją wypadki, kiedy Schermann przepowiedział przyszłe fakty, nie zetknąwszy się z żadnem pismem.

W r. 1916 w domu panny E. L. przedłożył dr. Goldscheider Schermannowi kawałek materjału, którego jedna strona przetykana była srebrnemi nitkami. Materjał miał mniej więcej rozmiary dwa i pół cm w kwadracie.

Panna E. L. opowiada o tem wydarzeniu następująco:

„Obejrzawszy kawałek materjału wziął go Schermann do ręki i udał się do przyległego nieoświetlonego pokoju. Po kilku minutach powrócił z niego: blady i zdenerwowany padł na krzesło. On, który unika alkoholu zażądał wtedy kieliszka koniaku lub wódki. — Co panu się stało? — pytano się zewsząd z niepokojem, gdyż nikt nie widział Schermanna w takiem rozdrażnieniu. — Przeżyłem coś okropnego — odparł Schermann pełen przejęcia. — Widziałem ogień, walkę, straszny dramat między niebem a ziemią.

Wyjaśnienia udzielił teraz dr. Goldscheider: — Ten kawałek materjału przysłał mi mój przyjaciel z Włoch. Jest to kawałek powłoki balonu „Citta di Ferrara", który we wrześniu 1916 r. został zestrzelony nad Polą. — Dr. Goldscheider dodał następnie, że gdy Schermann wyszedł z ciemnego pokoju oddał mu w pośpiechu kawałek materjału, mówiąc, że nie chce dłużej mieć tej tkaniny przy sobie i dorzucił: — Nie wiem co to jest, ale wiem, że ten kawałek materjału łączy się z rzeczą, która spowodowała śmierć wielu ludzi.

* * *

A teraz przytoczymy jeszcze wypadki, które Hayek nazywa wręcz proroctwem, chociaż zdaję sobie sprawę, jak niebezpiecznem dla naukowca jest takie określenie. Dnia 9 marca 1919 r. zwrócił się Schermann telefonicznie do p. Piovati, szwagra wiedeńskiego lekarza policyjnego tegoż nazwiska, prosząc go o spotkanie, gdyż ma mu do zakomunikowania ważną i nie cierpiącą zwłoki rzecz. Przybyłemu na spotkanie oświadczył Schermann:

„Z pisma pańskiej teściowej widzę wyraźnie, że nosi się z myślami samobójczemi i jakkolwiek wypływa z niego, że zamach samobójczy się nie uda, to jednak chciałem pana ostrzec, aby pan mógł powziąć środki ostrożności.

Ciąg dalszy nastąpi.

NA STRAŻY „GARDEROBY" SWEJ PANI
Fot. Dr. P. Wolff,
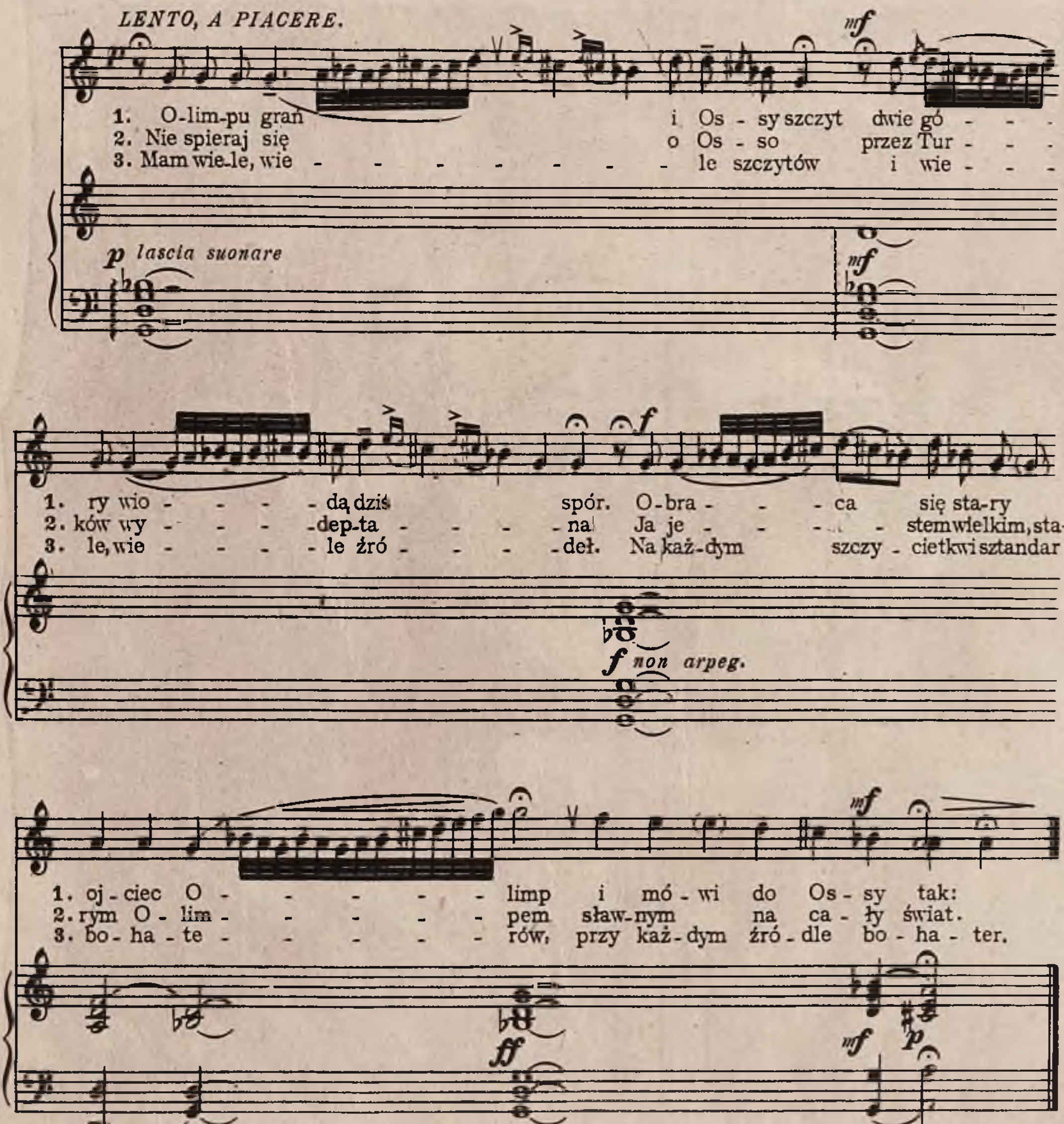


Z TEKI MUZYCZNEJ „ASA":

DWIE NOWOGRECKIE PIEŚNI LUDOWE

I.

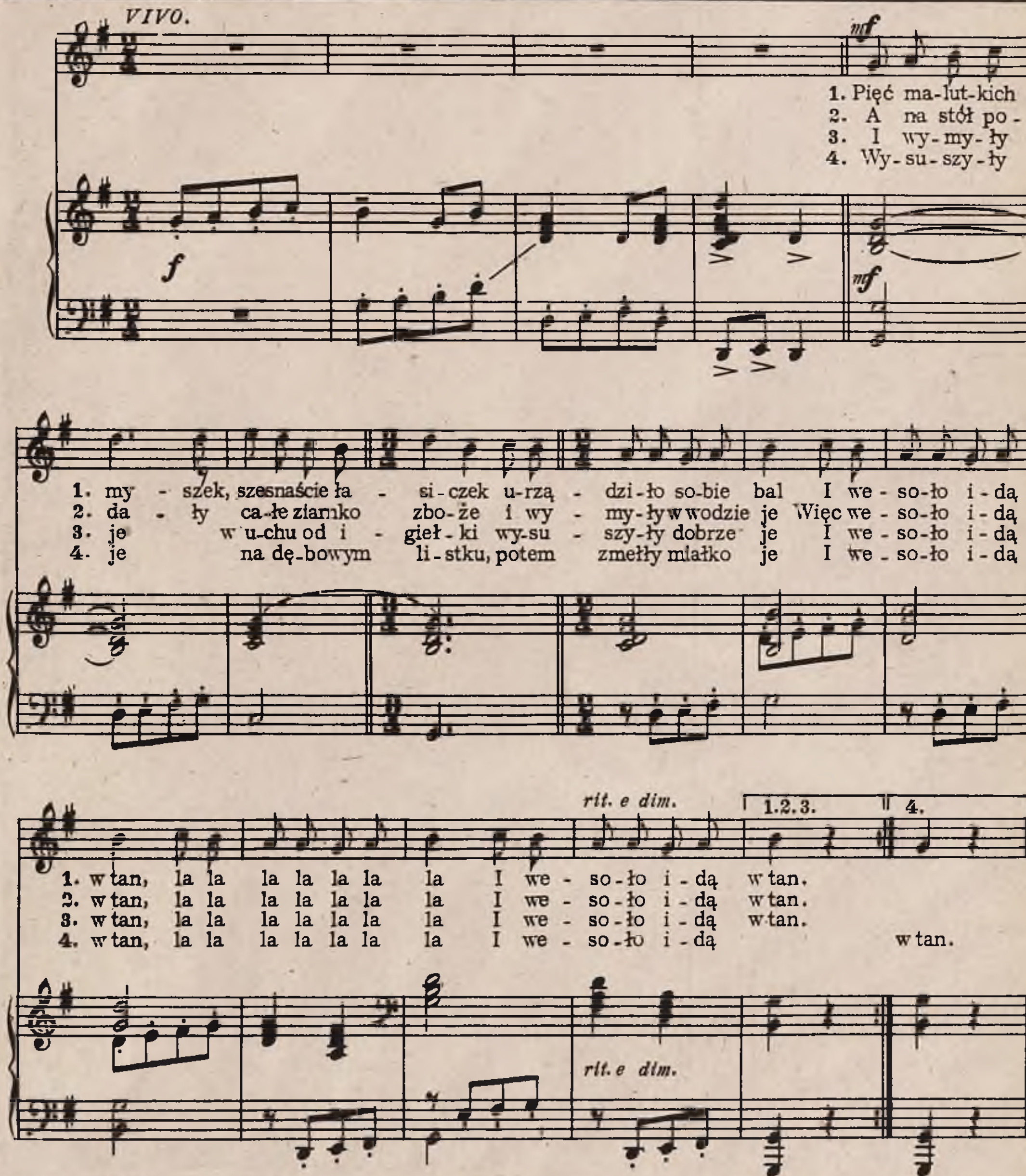
Olimp i Ossa

Muzyka i słowa: WŁODZIMIERZ POŹNIAK



II.

Pięć myszek



POJEDYNEK

JERZY TOTOŚ — NOWELA

I.

Szara limuzyna z cichym zgrzytem hamulców przystanęła u krawędzi chodnika. Z bezszelestnie otwartych drzwi auta wysunęli się dwaj czarno ubrani mężczyźni i spojrzawszy uważnie na umieszczoną nad najbliższą bramą tabliczkę z numerem kamienicy, skierowali się w ciemną otchłań sieni. Po chwili szybkie ich kroki zaczęły bezładnie odliczać drewniane stopnie, zmurszałą klawjaturą wiodące na piętro.

Hałas ich stąpań zamarł nagle przed czernią dużych, dębowych drzwi, — drzemiących u krańca długiego, nieoświetlonego korytarza. Wyższy z przybyszów przysunął twarz do niepozornej wizytówki, trudno dostrzegalnej w mroku.

— Wiktor Tykliński... — odczytał z trudem półgłosem.

— Tak! To tu... — przytaknął drugi, nacisnąwszy energicznie biały guziczek dzwonka, odnaleziony na framudze odrzwi.

Przytłumiony jego głos zaterkotał wewnątrz chrypliwie i zbudził szmer pantofli w przedpokoju. Po chwili w uchylonych drzwiach pojawił się ubrany w pyjamę młody, dwudziestokilkoletni mężczyzna.

— Czy mamy przyjemność z panem Wiktorem Tyklińskim? — zagadnęli równocześnie przybyli.

— Tak...

Niespokojne spojrzenie gospodarza przebiegło po czarno odzianych sylwetkach gości.

— Przyszliśmy w sprawie honorowego zadośćuczynienia dla p. Leonarda Orlackiego.

— Pojedynek?... — szepnął wbrew woli Tykliński, a przestrach zatrzepotał się w jego źrenicach. Podnieconym ruchem poprosił sekundantów do wnętrza.

Drzwi zamknęły się z głuchym stukiem, tłumiąc słowa dalszej rozmowy.

II.

Jasny odblask świtającego dnia wdzierał się przez okno do gabinetu i zdecydowanie atakował krąg elektrycznego światła, padający na biurko z pod zielonego abażura. Trwający dotąd w ponurej zadumie Leonard ujął wreszcie pióro i pochylił się nad zapisanym kilkoma zaledwie zdaniami arkuszem papieru. Wolno, kaligraficznie zakończył ostatnie zdanie:

„... a żonę moją Ewelinę mianuję spadkobierczynią i polecam jej spłacenie zapisobiorców z dywidend spółki „Dargol", złożonych na mem koncie w Banku Ziemiańskim".

Starannie umieścił podpis pod decyzją swej ostatniej woli i spojrzawszy na stojący obok na biurku kalendarz, napisał u dołu arkusza bieżącą datę. Potem niedbale odrzucił pióro i wsparł głowę na dłoniach.

— Pojedynek.. Jakiż to głupi wymysł... Co za dziwaczna forma honorowego zadośćuczynienia... — pomyślał z ironją. On, broniący swego honoru za kilka kwadransów legnie może tam gdzieś za miastem na zwilżonej ranną rosą łące, przestrzelony przez tego lalkowatego donżuana... Otrzyma wtedy pełną satysfakcję... Będzie to zlikwidowanie konfliktu po myśli honorowego kodeksu...

Leonard nie czuł do żony żalu. Raczej bolała go jej lekkomyślna beztroskość i naiwność w ustosunkowaniu się do życia. Teraz dopiero uświadomił sobie, że Ewelina była rozpieszczonem przez niego dzieciakiem, który zawojował go swą żywiołowością. Ze spokojnego, zakochanego męża uczyniła ślepe, bezwolne narzędzie swych szalonych pomysłów i ofiarę nieroztropnych decyzyj. Przebiegł myślą ich półtoraroczne pożycie i zrozumiał, że „ta historja z Wiktorem" była tylko dalszym epizodem bezkrytycznego życia Eweliny.

Z głuchą nienawiścią pomyślał o Wiktorze, który bezczelnie wykorzystał przyjaźń i zaufanie Leonarda. Owładnęło go znów przykre wspomnienie czułej sceny, której świadkiem stał się tylko dzięki przypadkowemu szybszemu powrotowi do domu. Zacisnął kurczowo pięści, a ściągnięta zmarszczkami twarz pokryła się szarą bladością...

Niespodziany głos trąbki samochodu doleciał z ulicy. Leonard przebudzony z odrętwienia charakterystycznym sygnałem klaksonu podniósł się szybko z krzesła i podszedł ku oknu. W mdłym refleksie świtania rozpoznał aerodynamiczny profil auta Zbigniewa, swego sekundanta. Z nerwowym pośpiechem opuścił gabinet.

Wnet zgrzyt klucza w zamku pożegnał go głuchem szczęknięciem, — a stukot szybkich jego kroków zakłócił ciszę, drzemiącą w mroku długiego korytarza.

III.

Koła pociągu, wyzwoliwszy się z objęć zwrotnic, strzegących pętlicy hałaśliwego dworca, nuciły wesoło swą rytmiczną piosenkę. Ostry, przenikliwy gwizd lokomotywy pożegnał ostatnie domy przedmieść Warszawy, spowite w mgle świtania. Długie pulmany lekkiem kołysaniem wabiły do drzemki rozespanych podróżnych, których wczesny odjazd kurjera berlińskiego pozbawił kilku godzin spokojnego snu.

Wiktor wysunął się ostrożnie z przedziału, w którym drzemało kilku podróżnych i przymknąwszy cicho drzwi przedziału stanął w korytarzu przy otwartem oknie. Z westchnieniem ulgi poddał się igraszce chłodnego prądu powietrza, który swem bezcielesnem dotknięciem zdawał się koić przykry ból głowy i balsamem spływał w rozdrażnioną bezsenną, gorączkową nocą jego nerwy.

Tykliński wychylił chciwie głowę z okna i trwał tak bez poruszenia z przymkniętemi powiekami. Lecz w podniecon ą wyobraźnię spłynęło wspomnienie czarnych sylwetek sekundantów Leonarda, wywołując niemiłe uczucie dreszczu.

— Głupia sytuacja! — skonstatował, przebiegłszy myślą galerję swych licznych sukcesów erotycznych.

Nie przypuszczał, że ostatnia przygoda z żoną spokojnego, cichego, jakby nieśmiałego w swej delikatności Leonarda — wywoła w nim tak gwałtowną reakcję. Dziwił się w duchu niespodziewanemu bohaterstwu zdradzonego męża, który zapałał doń morderczem, desperackiem pragnieniem pojedynku. Tchórzliwy adonis nie miał jednak w swych żyłach domieszki błękitnej krwi swego platonicznego przodka Casanovy. Skutecznie więc dusił teraz w sobie przykrą, palącą gorycz wstydu, który jak natrętny współpodróżny towarzyszył jego przezornej ucieczce.

— Jeżeli ona będzie roztropna — uciszy tę głupią burzę i wszystko ułoży się między nami pomyślnie. Leonard i tak jest przecież pachołkiem jej znudzonego despotyzmu.

Pokrzepiał się nadzieją, że „niedołęga" Leonard zcichnie wnet w zapalczywej, krwawej żądzy morderczej satysfakcji i on — bohater, czy też ofiara (bo trudno odgadnąć za kogo uważał się Wiktor) tego konfliktu spokojnie będzie mógł pojawić się znów na ulicach, czy też w lokalach Warszawy.

IV.

Inaczej ten sam świt witał spowite w siną mgłę grzbiety tatrzańskiego łańcucha, który z za tłumu lesistych pagórków mijanych przez pociąg pojawił się wreszcie na linji horyzontu. Różowym blaskiem podmalował budzący się ranek skłon nieba, stanowiący jasne, wyblakłe dotąd tło konfiguracji tatrzańskich turni. Jasną poświatą spłynął w mglistą toń stropu, ożywiając martwą jego bladość.





Ewelina znużonem spojerzeniem wpatrywała się w grę refleksów na niebie. Na delikatnej jej twarzyczce zmęczenie kilkunastogodzinną podróżą wycisnęło swe piętno. Wsparłszy głowę na dłoniach z apatją wsłuchiwała się senna w zdyszany oddech lokomotywy, wspinającej się na wzgórza Podhala.

Wreszcie gdy brzask dnia zwyciężył szarą bladość świtu, powoli otwarła podróżny neseser i wydobyła papier listowy. Potem odnalazłszy w torebce pośród drobiazgów wieczne pióro, w zamyśleniu skreśliła na marginesie gazety kilka znaków — pedantycznie rozłożyła papier i pochyliła głowę nad stolikiem. Zaczęła pisać...

Leonardzie!

Wiem, że lekkomyślność moja nie jest usprawiedliwieniem. Uświadamiam sobie nazbyt dobrze, że nie potrafisz teraz spojrzeć już na mnie jak dawniej. Muszę więc odejść na zawsze — nawet bez pożegnania.

Chyba mnie dobrze rozumiesz.

Ewelina.

Potem szybko ukryła zapisaną kartkę we wnętrzu koperty i języczkiem zwilżyła jej krawędź. Nerwowo, niespokojnie skreśliła nazwisko i adres swego męża.

Pierwsze odblaski przebudzonego słońca padły właśnie przez zaprószoną szybę do przedziału wagonu i oślepiającą smugą oblały stolik, kiedy Ewelina zaczęła kreślić list drugi.

Wiktorze!

Nie chcę osądzać teraz siebie, ani tembardziej wydawać sądu o Tobie. Zostawmy to sumieniu, które samo da najsprawiedliwszy wyrok. Sądzę, że zerwanie wszelkich nici jest jedynem wyjściem, które nam na obecnem bezdrożu zostaje. Ewelina.

Zakleiwszy drugą kopertę odetchnęła głęboko, jakby z ulgą — i uniósłszy twarz ku oknu z jakiemś skupionem uradowaniem poddała się pieszczocie słonecznych promieni.

V.

Z pod spuszczonych rzęs z nieodgadnionym uśmiechem, błąkającym się po rozchylonych wargach, śledziła Ewelina poruszenia Feliksa, który z jej dłonią przy ustach trwał w radosnem zapamiętaniu. Twarz jej przyoblekł rumieniec, okrywając zamknięte w skupionych rysach uczucia. Wreszcie wolno ujęła w dłonie głowę mężczyzny i zwróciwszy twarz jego ku sobie zaczęła mówić cicho i pieściwie:

— *Zerwałam z Leonardem... Uwolniłam się od tego ospałego niedołęgi... Poślubiłam go przecież tylko dlatego, że oślepił mnie swojem bogactwem i przemógł natarczywą służalczością... Ale nocą i dniem gnębiła mnie myśl o tobie i nieukojona tęsknota...*

I schylając swą promienną twarz ku obliczu Feliksa, szeptała cichutko:

— Tak drżałam z niepokoju, kiedy przed odjazdem z Warszawy na dworcu nadawałam telegram do ciebie... Ale ty pamiętałeś o mnie... Tylko ciebie kochałam i kocham... — wionął mu jeszcze w usta jej lekki oddech, zamknięty długim pocałunkiem.

OKNA

GERTRUDA SCHROETTERÓWNA

SZKIC

Czy ktoś kiedykolwiek pomyślał, jak różne i dziwne są nieraz okna...

Są okna jasne, w białych śniących ramach, należące do szarych nowoczesnych kolosów, piętrzące się w górę setkami podobnych do siebie oczu, ozdobione różowemi, lub błękitnemi markizetowemi firankami, zza których szyb wyglądają brzydkie, modne kaktusy, a częściej rząd kolorowych pelargonij.

Za takiemi oknami mieszkają napewno młodzi, zakochani w sobie i życiu — ludzie. On — jakiś urzędnik, lub nauczyciel, ona słodkie kobieciątko, przywiezione gdzieś z dalekich kresów, mające jeszcze w oczach, nie zatarty na wielkomiejskim bruku smętek kresowych wiosen. Ktoś, patrzący w ich jasne okna, mógłby widzieć ich naiwne, jasne szczęście. Krótkie, wspólne ranne godziny przy białym maleńkim stoliku oczy jeszcze nieprzytomne i szukające siebie.

A potem już przez długie godziny nic się przy tych oknach nie dzieje. Tam w głębi domu odbywają się codzienne, szare sprawy, tworzące dzień kobiety: robótki, przygotowania do obiadu, wstydliwe zerkanie na zegar — czekanie, — jedno z najstraszniejszych mąk zakochanych.

A kiedy popołudnie zaróżowi szyby w białych ramach ukaże się wśród doniczek drobna postać ubrana w uroczystą, kolorową sukienkę i czeka. Przesuwa cierpliwie oczyma po tłumie w dole spieszących się ludzi, by znaleźć i wyłuskać z tego tłumu drogą i jakże znaną postać. I potem znowu dzieje się wszystko wiadome.

Okna o zmierzchu zostają ślepe i samotne. Nikt nikogo nie czeka. Pewno tych dwoje młodych pochłonął wspaniały, wiosenny wieczór, każąc im biegać po mokrej trawie, zanosić się od śmiechu, nie wiadomo z jakiego powodu, i zakrztusić się po raz setny radością i szczęściem...

A kiedy nad zbitym kompleksem domów, kościołów i ulic rozbłysną gwiazdy, w jasnych znanych nam oknach zaświeci się lampa, okryta kremowym abażurem, a na tle białych firanek przesuwają się dwie postacie, trzymające się za ręce. Z uchylonych okien dolatuje sentymentalna melodja straussowskiego walca — nasuwająca myśli o wiośnie, szczęściu i miłości — trzech jakże oklepanych i jak bardzo prawdziwych słowach...

Ale takie okna jak te spotyka się bardzo rzadko. Częściej widzi się okna szare, w odrapanych, brzydkich ramach, należące do poczerniałych od lat kamienic, których fronty ozdobione są niewidzącemi twarzami jakichś faunów i najad. Okna w takich kamienicach są wąskie i jakieś dziwnie smutne. Nie ma za szybami radosnych doniczek z pelargonjami lub modnymi kaktusami, niema markizetowych powiewnych firanek. Zza szyb wyglądają ciężkie, z jakiegoś wypłowiałego brokatu zrobione firanki, przypominające o dostatniem przedwojennem życiu, pachnące lawendą i naftaliną.

Za takiemi oknami mieszkają zazwyczaj starzy, przedwojenni ludzie. Stare, zasuszone panny, o chudych, pergaminowych twarzach i haczykowatych nosach i wdowy, trwające w dozgonnej, nikomu niepotrzebnej żałobie...

Wszystko w takich oknach jest smutne, ciężkie i stare. Ciemne wnętrze, a na jego tle czarna postać starej kobiety, która wszystko przeżyła i dla której życie jest już tylko przykrym, ciężkim obowiązkiem. Takie okna rzadko się otwierają i nigdy z nich nie doleci wesoła melodja. Radosne słońce, zaglądające rankiem do nich, nie potrafi nic odmienić. Ślepe i ponure zostają aż do zmierzchu...

O liljowym zmierzchu z ciemnych, smutnych wnętrz podchodzą do okien wszyscy starzy ludzie. Za starzy już nato, by pędzić razem z tym tłumem, przewalającym się ulicami w wiosenne wieczory, ale jeszcze ciekawi życia pomimo wszystko.

Przy takich oknach siadają czarno ubrane staruszki z okularami na nosie, patrzące nieruchomo przez długie godziny zmierzchu wdół, na ulicę, gdzie przy świetle rozbłyskujących latarń i neonów śpieszą się ludzie nie wiadomo dokąd i nie wiadomo skąd przybyli. Idą młodzi, przytuleni, zapatrzeni w siebie — najmilsi starczym, patrzącym oczom, które też przecież kiedyś miały dwadzieścia lat i szły radośnie naprzeciw życia.

Idą ludzie smutni, bladzi, mający w oczach ból całego życia — wloką się powoli, bez celu, przystające przed jasno oświetlonemi wystawami, patrząc na niedosiężne dla nich, nędzarzy, specjały. Idą ludzie interesu z grubemi teczkami pod pachą i grubemi cygarami w ustach. Śpieszą do pachnących dobrą kolacją restauracyj — tędzy, eleganccy, głupi.

Przelatują ulicami kolorowe auta, wiozące nieznanych ludzi, których może nigdy się nie spotka, idą chude z zaropiałemi oczyma szkapy, ciągnące za sobą olbrzymie furmanki naładowane piaskiem lub węglem...

Z pobliskich kawiarń dolatuje muzyka, dzika — niepokojąca — obca starym paniom, siedzącym w oknach...

Życie w dole przewala się barwne, ciężkie i wiecznie kuszące — a one wyrzucone już na brzeg życia — czekają w ciszy na śmierć.

Księżyc, pojawiający się wśród wysokich kamienic, płoszy stare panie. Odchodzą od swych okien beznadziejnych i starych, jak one same i idą na spoczynek koszmarny, jak koszmarną jest taka stara, pachnąca lawendą i naftaliną noc...

I są jeszcze inne okna. W czerwonych ceglanych domach fabrycznych kwadraciki zielonych ram okiennych. Za szybami perkalowe, czyste firanki i dwa pokoje tak samo schludne i nieciekawe, jak ich mieszkańcy.

Mieszkają za takiemi oknami ludzie pracy — prostoduszni, spracowani o jasnych dobrych oczach, dla których życie ma tylko jedno oblicze: trudu. Ich żony są tęgie, czerwone na twarzy, otoczone czeredą dzieci, wiecznie ruchliwe i wiecznie rozgadane — poczciwe, stare kwoki, żyjące na swej grzędzie aż do końca życia.

Życie za takiemi oknami jest nieciekawe, powtarzające się od dziesiątek lat. Wszystko w tem życiu jest schludne, dobre i celowe. Z takich okien nie patrzy ani szczęście dwojga z tamtych jasnych okien, ani smutek czający się w oknach starych ludzi. Te okna są szeroko otwarte przez cały dzień — wszystko, co się za niemi odbywa jest głośne i wszystkim wiadome.

Nawet wieczór, nawet noc jest tam wiadoma. Położą się wszyscy spać, zasną zdrowym, niosącym spokój i siły snem. Nikt nie będzie patrzał przez okno w noc wiosenną i w gwiazdy... Okna te należą do ludzi, których życie nie zna słów tęsknota, szczęście, miłość...

I są wreszcie okna straszne jak sama rozpacz... W potwornych, gnijących ruderach okna-ślepia, bez szyb, bez firanek, bez kwiatów, przez które w noce zimowe wieje zimno i głód. Wiosna dla tych, co mieszkają za temi oknami, jest błogosławieństwem. O tych ludziach wie się wszystko i nic...

To są ci ludzie, których czarne staruszki widziały wlokących się bez celu po ulicach, zachłannie patrzących na wystawy. To są ci ludzie, którzy nie mają w życiu nic do stracenia.

Cóż powiedzeć o tych oknach, na których resztkach szyb suchotnicze dzieci chwytają w rączki ostatni promyk zachodzącego słońca....

. . . .

Czy ktoś się kiedykolwiek zastanowił, jak różne i dziwne są nieraz okna?..

Pani i Pan
WYJEŻDŻAJĄ NAD MORZE...





Kostjum angielski jest najodpowiedniejszym strojem pięknej pani w podróży koleją lub samolotem.

Pan zaś nosi w podróży t. zw. ubranie kombinowane o charakterze wybitnie sportowym.



Koniec czerwca darzy nas upalną pogodą, jakby po długiej i zimnej wiośnie chciał nam przypomnieć, że lato dotrzyma mimo wszystko swych zobowiązań i wypraży nas solidnie, jak co roku. Nie czekajmy na jego palące łaski w miejskim kurzu i spiekocie. Ani parki, ani plaże miejskie, ani tem bardziej tarasy kawiarniane i „piwogródki" nie dadzą nam prawdziwej ochłody. Jedynie morze obroni nas przed zbytnią natarczywością lipcowych promieni i pozwoli nam spędzić skwarne, letnie miesiące w cudownie czystem, ożywczem powietrzu.

Morze woła nas... Nie bądźmy głusi na to wołanie, nie dajmy się zrazić pesymistom i tchórzliwym alarmistom. Nasz piękny, szaro-błękitny Bałtyk przyjmie nas gościnnie, jak zawsze!

Niekażdy może spędzić wakacje na południu czy w pięknej Bretanji lub Normandji. Nasze plaże są równie pociągające i niemal każdemu dostępne. Korzystajmy więc z ich uroków.

Gdy wyszukaliśmy już sobie odpowiednią miejscowość, a w niej wygodne lokum, czas pomyśleć o pakowaniu. Pakowanie dla pięknej pani — to cały problem! Włożyć rzeczy do kuferka, to czynność bardzo prosta, ale jakże skomplikowane jest rozstrzygnięcie pytania: co zabrać? Nikt

dziś nie lubi obarczać się zbyt obfitym bagażem: niezliczone walizki, pudła na kapelusze, sakwojaże, nesesery i inne „mantelzaki", które towarzyszyły niegdyś obowiązkowo podróżom pięknych elegantek, to dziś rekwizyty pachnące staroświeczczyzną i „myszką". Nowoczesna piękna pani potrafi doskonale skompletować garderobę i czarować swemi kreacjami, mieszcząc te wszystkie skarby w jednej walizce i podręcznym neseserze.

Bielizny nie będziemy dużo nabierać; po pierwsze potrzebna nam jest nad morzem jedynie w wyjątkowych okolicznościach, po drugie jesteśmy praktyczne i malutką kombinacyjkę czy cieniutkie reformy z lekkiego jedwabiu potrafimy sobie same przeprać na poczekaniu. W podróży najpraktyczniejszą jest bielizna z cieniutkiego trykotu, która zabiera minimalnie miejsca, nie mnie się w kuferku, a po wypraniu nie wymaga prasowania.

Na drogę weźmiemy praktyczny, niezbyt ciepły angielski kostjum z lekką bluzeczką z lnianego płótna, jedwabiu do prania, lub też pull-overek bawełniany lub z przędzy lnianej. Szykowny filcowy kapelusik i wygodne, sportowe buciki dopełnią całości, która i nad morzem przyda nam się na wycieczki samochodowe w dnie chłodniejsze, a jeśli spódniczka jest szeroka, fałdowana



Na lewo: Modny płaszcz kąpielowy do kolan z białego „eponge'u" z kapiszonem, podszytym barwnym „chintzem".

Poniżej: Na plaży nie wolno nadużywać maquillage'u, który źle znosi słońce i wodę.





Na lewo: Ćwiczenia na przyrządzie wioślarskim zastępują paniom trudne wiosłowanie na morzu (kostjum z dwubarwnego trykotu).



Na lewo: Podczas chłodnych dni chętnie nosimy do flanelowych spodni barwną wełnianą kamizelkę. — Rys. Ewa Leo.

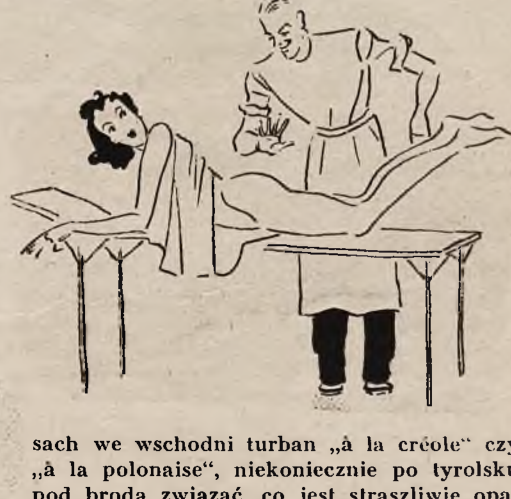
lub w formie szerokich krytych spodenek, przyda nam się również do spacerów rowerem.

W kuferku umieścimy niewiele strojów, ale tak dobranych, aby w każdej okoliczności być odpowiednio ubraną. A więc:

1) **Na rano na plażę:** Kostjum kąpielowy, ewentualnie dwa, do zmiany. Jeden przynajmniej będzie cały marszczony gumką, co jest najmodniejsze, a dla figury — którą pięknie modeluje i obciska — najkorzystniejsze. Zaopatrzymy się do kąpieli także w gumową czapeczkę szczelnie osłaniającą włosy i spinaną pod brodą, pantofelki gumowe i — jeśli lubimy nurkować, nie zamykając oczu — w najnowsze okulary pływackie, oprawne w jasną gumę, które w roku zeszłym lansowała na Capri piękna i ekscentryczna Barbara Hutton. Nie zapomnijmy również o płaszczu kąpielowym, bez którego na plażach południowych doskonale można się obejść, ale nad chłodniejszym Bałtykiem jest on nieodzowny. Tylko niech nie będzie, broń Boże, brzydkim, staromodnym kwiaciastym lub pasiastym „szarafanem", jakich tak wiele widuje się jeszcze wciąż na naszych plażach. Modny płaszcz kąpielowy jest biały lub jakiegoś jasnego, żywego koloru, krótki do kolan i wykończony ładnym kapiszonem, podszytym barwnym, deseniowym materjałem.

Do plażowania zaopatrzymy się w nieocenione shorty z lekkiego jersey'u lub pięknego płótna i kilka staniczków („bains de soleil") bez pleców do opalania się, które w chłodniejsze nieco dnie zastąpimy bluzeczką z barwnego fularu lub kretonu, albo ładnym pull-overem zwanym „sweatshirt" z matowego jedwabiu. Jeśli shorty nie są odpowiednie dla naszej figury, wybierzemy raczej plażową suknię z shantungu, płótna lub kretonu, krótką i głęboko na plecach wyciętą, uzupełnioną ewentualnie krótkiem bolerkiem lub żakiecikiem, który pozwoli nam ten plażowy strój zamienić w mgnieniu oka na całkiem „correct" spacerowy komplecik, w którym zasiądziemy do lunchu czy do aperitifu w kawiarni. Całą naszą pomysłowość i fantazję okażemy w doborze ładnych akcesorjów do tego plażowego rynsztunku, a więc oryginalnej torby plażowej, zgrabnych sandałów na lekkiej korkowej podeszwie, dużego, fantazyjnego kapelusza ze słomy czy materji, albo — jeśli wolimy się opalać — barwnej chustki, którą potrafimy kokieteryjnie upiąć na włosach we wschodni turban „à la créole" czy „à la polonaise", niekoniecznie po tyrolsku pod brodą związać, co jest straszliwie opatrzone i rzadko komu do twarzy.

Poniżej: Masaż po kąpieli uelastycznia mięśnie i działa ożywczo na skórę.



2) **Na popołudniu,** jeśli nie spędzamy je na plaży, lecz robimy wycieczki lub spotykamy się ze znajomymi na tarasie modnej kawiarni, włożymy bądź kostjumik lub „petite robe" z pastelowego koloru shantungu

czy francuskiego płótna lub wełnolnu, bądź też najmodniejsze dziś długie spodnie z popielatej lub białej flaneli z jasną, barwną bluzeczką koszulkową albo pull-overkiem, w chłodniejsze zaś dnie z marynarką z tej samej wełny co spodnie, lub odmiennej barwy jersey'owym „blazerem" bez kołnierza i klap.

3) **Na wieczór,** o ile idziemy do modnej restauracji lub na dancing na tarasie hotelowym, przygotujemy sobie jedną lub dwie wieczorowe tualety z piki, płótna, wzorzystego jedwabiu lub gazy w deseń kwiatowy, z organdi lub haftowanego angielskiego batystu. Suknia taka powinna być bardzo szeroka, powiewna, o charakterze wybitnie letnim.

Tych kilka, wyżej wymienionych typów stroju, wystarczy nam w zupełności, aby być w każdej porze i okoliczności doskonale ubraną.

A pan? Z jaką zawartością waliz wyruszy on nad morze? I tym razem przyjdzie nam doradzać jak największą powściągliwość, jeśli chodzi o ilość ubrań, które mają nam naprawdę wystarczyć na wszystkie okoliczności życia nad morzem. Dobrze ubrany gentleman nie będzie się napewno silić na niepotrzebne wypełnienie szaf swego letniego home'u na to tylko, by imponować innym bogactwem i różnorodnością swej garderoby.

Trzeba zacząć od tego, że większą część dnia spędza się i tak na plaży. Już choćby dlatego kostjum kąpielowy odegra tu pierwszą rolę. Powinniśmy się więc zaopatrzyć przynajmniej w dwie pary spodenek, z których jedną używać będziemy do kąpieli, drugą zaś włożymy po wyjściu z wody, by potem w suchych swobodnie plażować. Przy chłodniejszym wietrze, gdy mimo chmurnego nieba zapragniemy odpoczynku na piaszczystem wybrzeżu — a takie warunki często zdarzają się nad Bałtykiem — ważną rolę odegra flanelowa koszula



Trzy odmiany najmodniejszych sandałków na korkowej pudeszwie. — Rys. Ewa Leo.



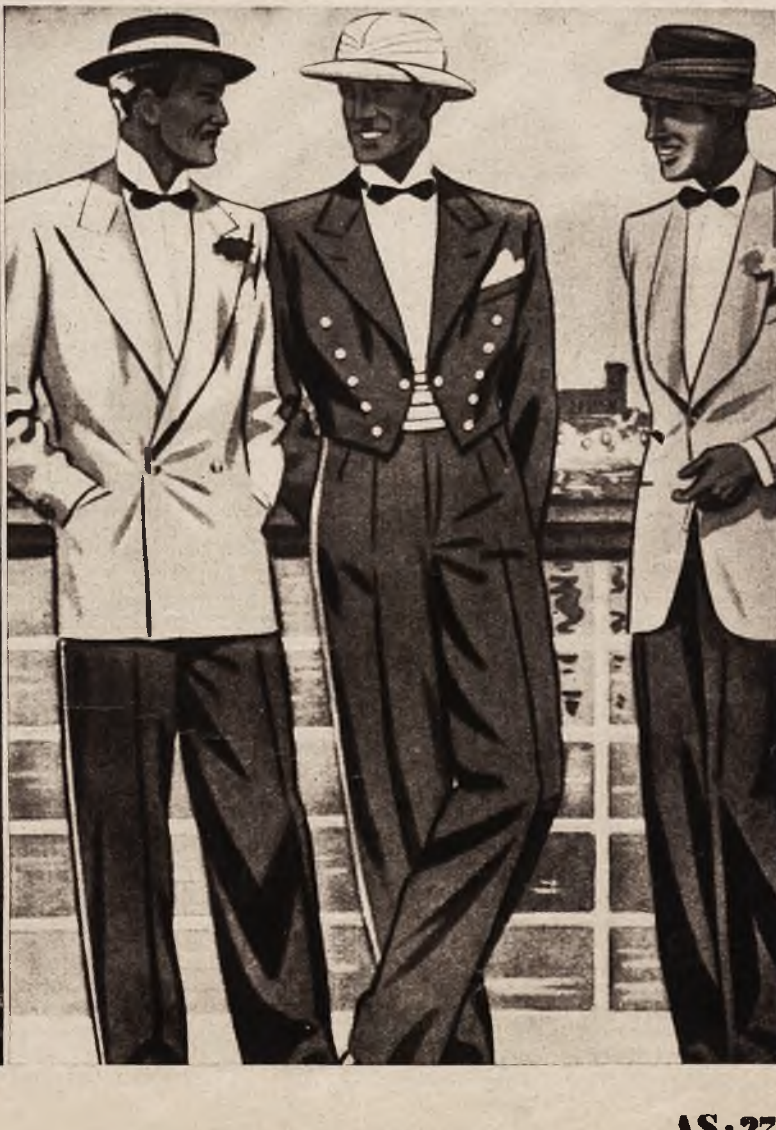
Na prawo: Szykowna sukienka plażowa z wualu w pasy. — Rys. Ewa Leo.



Na lewo: Ta sama sukienka, uzupełniona bolerkiem, służyć może nawet na popołudniowy dancing. — Rys. Ewa Leo.



Poniżej: Strojna tualeta wieczorowa z tafty w oryginalny deseń z fantazyjnych piór, częściowo zahaftowanej perełkami. Jane Lanvin, Paryż.



Poniżej: Najodpowiedniejszym dla pana strojem wieczorowym nad morzem jest biały smoking lub granatowy spencer (krótki frak).

w barwny duży deseń (patrz str. 28). Po wyjściu z wody przyda nam się bardzo płaszcz kąpielowy, który pozatem służyć nam może do wygodniejszego leżenia na piasku. Musimy uważać, by jego długość była odpowiednia (niemal do kostek i by jego kolory nie przypominały palety malarza. W przeciwstawieniu do damskiego płaszcza, który, jak to wspomnieliśmy, nosi się obecnie w białym kolorze, płaszcz męski powinien być utrzymany w ciemnych barwych (jednotonowy) — jako wzór utrzymują się nadal pasy w odmiennych, ale ściśle stonowanych kolorach. Poza plażą, np. na popołudniowy dancing, włożymy ubranie kombinowane, które zresztą już w czasie podróży mieliśmy na sobie. Kombinacje są wogóle bardzo odpowiednie nad morzem i same przez się niezwykle praktyczne, ponieważ przy dwóch parach spodni flanelowych, np. popielatych i bronzowych oraz trzech marynarkach, umożliwiają sześciorakie zestawienia, odpowiadające 6-ciu garniturom. Wieczór w modnych kąpieliskach spędza pan w białym smokingu lub t. zw. spencerze, czyli granatowym fraku bez pół. Jachting — to osobna karta w repertuarze ubraniowym pana. Najelegantsze zestawienie takiego stroju widzimy na str. 29.

Ale nie zapominajmy, że pobyt nad morzem nie powinien być jedynie okazją do przebierania się kilka razy na dzień: musimy go wyzyskać przedewszystkiem dla zdrowia i — urody! Po całorocznem, nerwowem życiu w mieście, obfitującem w nieprzespane noce, w wyczerpujące okresy pracy, czy choćby nawet zabawy, organizmowi naszemu należy się całkowite odprężenie i wypoczynek. Trudno o idealniejsze warunki, jak nad morzem, naturalnie o ile się ten pobyt potrafi racjonalnie zorganizować i wykorzystać. Prawdziwy wypoczynek i ożywcze działanie słońca, wody i powietrza, regenerują nasze tkanki, uelastyczniają mięśnie, jednem słowem działają odmładzająco. Na to, aby osiągnąć ten zbawczy rezultat, musimy jednak trzymać się pewnych zasad higjeny i — co niemniej ważne — kosmetyki.

O higjenie nie będziemy się rozpisywać. Wiemy dobrze i słyszelimy to dość często od naszego lekarza, że trzeba wcześnie chodzić spać, przebywać dużo na powietrzu, umiarkowanie używać ruchu, kąpieli, plażowania i sportów, wyrzec się alkoholu i ograniczyć do minimum palenie etc. etc.

Ale jeśli idzie o kosmetykę w czasie pobytu nad morzem, popełniamy często przez nieświadomość poważne błędy, które mszczą się na nas nieubłagalnie. Ileż to razy skonstatowałyśmy z przerażeniem po powrocie do miasta, że włosy nasze są martwe i bez połysku, że opalona skóra zgrubiała i stała się mniej delikatna, że nieubłagane zwierciadło w naszej gotowalni podsuwa nam smutną uwagę: „wyglądam może zdrowo, ale co tu mówić — zbrzydłam!".

Aby uniknąć tych nieprzyjemnych skutków, trzeba odpowiednio dostosować swe zabiegi kosmetyczne do warunków nadmorskich. Słona woda, wiatr i słońce zagrażają poważnie naszej cerze, o ile nie ochronimy jej przed zbyt brutalnem ich działaniem, natłuszczając ją obficie jakimś delikatnym olejkiem, oliwą lub tłustym kremem przed



Jazda na tzw. wodnym rowerze jest nie tylko miłą rozrywką, ale i doskonałem ćwiczeniem mięśni nóg.



Komplety plażowe z rypsu w różnobarwne paski (rozcięta spódniczka służyć może również jako pelerynka, osłaniająca plecy od słońca.)



Na prawo: Podczas gdy pani nosi na plaży komplet, złożony ze spodenek, napierśników i bolerka z barwnego kretonu, pan przebywa na piasku najchętniej w krótkich spodenkach z paskiem, a przy chłodniejszym wietrze wkłada flanelową koszulę w duży deseń.



Na prawo: Jachting jest sportem, wymagającym odpowiedniego stroju: płóciennych białych spodni, barwnego wełnianego pullovera i baskijki.

pójściem na plażę, po powrocie zaś oczyszczając twarz (nigdy wodą, tylko cremem!) gruntownie z drobinek soli, które na niej osiadły, oraz specjalnie starannie powtarzając ten zabieg przed spaniem, przyczem cerę suchą trzeba jeszcze na noc natłuścić jakimś dobrym odżywczym kremem na podkładzie lanoliny, cerę tłustą pozostawić zupełnie czystą. Nad morzem nie należy nigdy używać płynów ściągających (astringent), należy też — przynajmniej w czasie plażowania ograniczyć do koniecznego minimum wszelki maquillage, który i tak niełatwo znosi działanie gorąca i wody. Aby szczególnie wrażliwa skóra powiek i pod oczyma nie marszczyła się i nie wysuszała, trzeba ją starannie natłuszczać jakimś specjalnym olejkiem i nosić ciemne okulary od słońca, by nie mrużyć oczu, bo to powoduje zmarszczki.

Słońca należy używać bardzo ostrożnie i umiarkowanie, a po trzydziestce trzeba ograniczyć je silnie, gdyż wiotsza i mniej elastyczna już skóra fatalnie reaguje na jego bezpośrednie działanie. Podobnie i włosy źle znoszą silne działanie słońca. Dlatego chronić je trzeba lekkim kapeluszem lub barwną chusteczką, do kąpieli zaś wkładać gumową czapeczkę, gdyż słona morska woda czyni włosy twardemi i matowemi. Dobrze też jest przed każdym myciem włosów natłuścić dokładnie skórę głowy czystą oliwą.

Jeśli chodzi o maquillage, który powinno się stosować tylko na wieczór, koloryt jego musi „wrócić do natury". Do lamusa poszły już sztuczne, chorobliwe odcienie „cyclamen", których używałyśmy w sezonie zimowym. Tego lata będziemy mieć karnację jasną (lekko tylko opalona), nie ceglastą ani czekoladową, rumieńce czysto różowe, bez przymieszek tonów pomarańczowych i liljowawych — delikatnie rozprowadzone na całym niemal policzku, a nie tylko na kościach policzkowych ku skroniom — usta żywo czerwone, powieki błękitnawe, nie brązowe ani liljowawe. Kolor lakieru do paznokci dobierzemy również w czystym, koralowym odcieniu, harmonizującym z tonacją całego maquillage'u.

Nosząc przez cały dzień, nawet do sukni wieczorowej, sandałki bez pończoch, musimy ogromny nacisk położyć na pielęgnację stóp. Dobry krem wcieramy po lekim masażu, tualetowy talk i staranny pédicure z zastosowaniem lakieru, tego samego, którego używamy do rąk, uczynią nasze stopy równie delikatnemi i wypielęgnowanemi, jak nasze ręce.

Korzystając z wolniejszego czasu, powinniśmy w czasie pobytu nad morzem, prócz pływania i innych sportów, stosować też gimnastykę kosmetyczną, masaże i natryski, co ważne jest szczególnie po kąpieli w morzu, dla usunięcia ze skóry całego ciała resztek piasku i soli.

Lady Like i Brummell.

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka obliczone na 3—4 osoby.

(Poniższe wskazówki podajemy na życzenie naszych Czytelniczek).

Praktyczna i myśląca pani domu układa sobie na dni upalne specjalne menu. W zasadzie wiemy, że w lecie należy przygotowywać potrawy lekkie, a nie sycące i tłuste. Organizm broni się w czasie upałów przed takiemi daniami, przez awersję do mięsa i tłuszczu, które są ciężej strawne. Im dłużej bowiem trwa trawienie leżących w żołądku potraw, tem dłużej cierpi człowiek, męczony od zewnątrz i wewnątrz przez gorąco. Natomiast smakują wtedy jarzynowe sałaty lekko zakwaszone, chłodne legominy, kremy, kompoty itp. Możemy spokojnie podawać w upalne dni nawet rosół, lecz zupełnie odtłuszczony i zastudzony w lodzie. Jest orzeźwiający a zarazem pożywny. Również ryba zastudzona w galarecie chętnie jest widziana. Lekkie i szybko przyprawione mogą być omlety francuskie (bez piany) napełniane jakąś jarzyną, móżdżkiem, mieloną wątróbką lub szynką. Do takich omletów świetnie nadaje się sałata zielona lub ogórkowa. W wielu domach przyjmuje się teraz zwyczaj podawania sałaty w miejsce zupy, wedle wskazań lekarzy, którzy twierdzą, że dla ludzi nerwowych, pracujących umysłowo, spożywanie sałat i owoców, działa kojąco na nerwy.

Co do układania menu na dni upalne, to zimna zupa, mała porcja prędkiego mięsa, omlet z jarzyną, galaretka lub krem jako legomina, będzie obiadem, który każdy zmęczony gorącem chętnie ujrzy na stole.

Poniżej parę odpowiednich przepisów.

PRĘDKIE MIĘSO, tj. befsztyk lub kalbstek. Dla orjentacji mniej doświadczonych pań domu podaję, że befsztyk z polędwicy lub kalbstek nie powinien ubity w stanie surowym długo leżeć na desce. Wogóle ubijanie polędwicy jest zupełnie zbyteczne. Odpowiedni kawałek (15—20 dkg na osobę) zbija się lekko (raczej formuje) trzonkiem noża, układa na talerzu, smaruje oliwą z obu stron i odstawia na dwie godziny. Masło pod smażenie powinno być roztopione i odlane z części serowatych; nie należy też brać masła dużo; mięso osypane mąką, rzuca się na rozpalone masło i smaży na silnym ogniu przez trzy minuty z każdej strony; odwracać należy łopatką — nigdy widelcem, aby sok z mięsa nie wypływał. Na talerzu kładzie się pod befsztyk łyżeczkę masła deserowego, soli mięso lekko dopiero teraz i garniruje jarzynkami, lub kładzie na wierzch sadzone jajko, osobno usmażone.

W podobny sposób przyprawia się kalbstek. Ponieważ jednak niedosmażona cielęcina jest niezdrowa, należy kalbsteki po szybkiem usmażeniu nakryć i podlawszy je łyżką rosołu, dodusić na wolnym ogniu przez pół godziny.

Tak befsztyk, jak i kalbstek może być również podany na zimno. Usmażony wedle powyżej podanych wskazówek, powinien być zaraz z ognia odstawiony i posolony. Wystudzony znajdzie pełne uznanie, czy podany do kolacji czy też zapakowany troskliwą ręką do plecaka turysty.

LEGOMINA Z TRZEŚNIAMI. 20 dkg masła uciera się na pianę, następnie dodaje się, ciągle ucierając, naprzemian 1 jaje i 1 łyżkę cukru, którego ma wyjść 20 dkg, jaj zaś 4. Wkońcu dodaje się sok z połówki cytryny i otartą z niej skórkę, oraz 20 dkg mąki. Zupełnie gładko utartą masę wlewa się do formy, wysmarowanej masłem i wysypanej mąką. Wierzch posypuje się gęsto wydrelowanemi trześniami. Legominę piecze się przy dobrze stopniowanej ciepłocie, około godziny.

TORCIK TRUSKAWKOWY. 10 dkg masła, 15 dkg mąki i 5 dkg cukru pudru rozkrusza się razem i łączy następnie w tęgie ciasto za pomocą 1—2 łyżek kwaśnej śmietany. Ciasto zawinięte w serwetę odkłada się w chłodne miejsce. 50 dkg truskawek opłukanych i osączonych z wody obiera się z szypułek, większe przekrawa się na połówki i ułożywszy je na misce, posypuje się 15 dkg cukru. To wszystko załatwia się zaraz rano tak, aby ciasto i owoce spoczywały 3—4 godzin. Tuż przed pieczeniem wykłada się ciastem tortownicę, tworząc wokoło brzeg na 2 cm wysoki i wstawia do piecyka, dobrze nagrzanego. Kiedy ciasto nabierze dobrze rumianego koloru wystudza się je zupełnie. Truskawki, które w międzyczasie wytworzyły trochę soku, wyjmuje się na sito, sok rozgrzewa się silnie, odstawia z ognia i wkłada do niego 4—5 płytek żelatyny, która się powinna zupełnie rozpuścić. Kruchy spód wyłożony na płytkę tortową, okłada się osączonemi truskawkami i oblewa sokiem z żelatyną równomiernie, aby glazura była równa i gładka.

Inny sposób glazurowania: Do formy odpowiadającej kształtem tortowi, nalewa się sok z żelatyną (formę należy przedtem natrzeć olejkiem migdałowym). Po zupełnem zastygnięciu galaretki, nakłada się odwróconą formę na tort obłożony truskawkami, kładzie na moment na wierzch serwetkę, ogrzaną w gorącej wodzie, poczem galaretka powinna gładko z formy wylecieć. Możnaby też na zastudzonej galaretce ułożyć truskawki, nakryć kruchym plackiem i wszystko razem ostrożnie odwrócić.

Sc. Ko.

PRAKTYCZNE WSKAZÓWKI DLA PAŃ DOMU



Oto maszynka służąca do przyrządzania ziemniaczków — które zamierzamy smażyć w cieście, lub też jako „pommes frites". Obsługa jej jest zupełnie prosta, taka sama zresztą, jak przy maszynce do mięsa.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

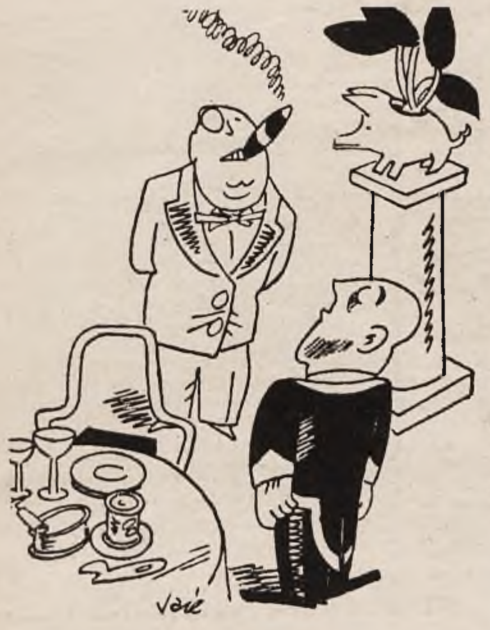
Święta rzym.-kat.	Tydzień 25 — **Czerwiec** — Dni 30
Niedziela **25** Prospera	Bulion mrożony. Krokietki z mięsa rosołowego w beszamelu. Perliczka z kompotem. Tort kruchy z truskawkami. Kolacja: Kaczka na zimno z mizerją.
Poniedziałek **26** Jana i Pawła	Chłodnik z buraczków. Kalafior z masłem. Kalbsteki, marchewka z groszkiem. Legomina z czereśni. Kolacja: Młode ziemniaczki, kefir domowy.
Wtorek **27** Władysława kr.	Zupa cytrynowa z ryżem. Kalarepka z szynką zapiekana. Prędkie rozbratle z mizerją. Poziomki z śmietaną. Kolacja: Jaja w sosie szczawiowym.
Środa **28** Leona II p.	Chłodnik z truskawek. Ragoût z szparagów. Kotlety cielęce z sałatą. Pierożki z czereśniami. Kolacja: Bukiet jarzynowy.
Czwartek **29** Piotra i Pawła	Zupa jarzynowa. Omlety z grzybkami lub szpinakiem. Kurczęta smażone z sałatą. Kruche ciastka z pianką poziomkową. Kolacja: Zimne befsztyki z sałatką.
Piątek **30** Emilii	Chłodnik ogórkowy. Leniwe pierogi. Sandacz z jajem. Ryż z śmietaną. Kolacja: Pstrągi marynowane.
Sobota **1** Teobalda op.	**Lipiec** Chłodnik botwinkowy. Kalarepka faszerowana. Smażona wątróbka z mizerją. Kisiel agrestowy. Kolacja: Rizotto z groszkiem.





HOCKI-KLOCKI

CHICAGO.



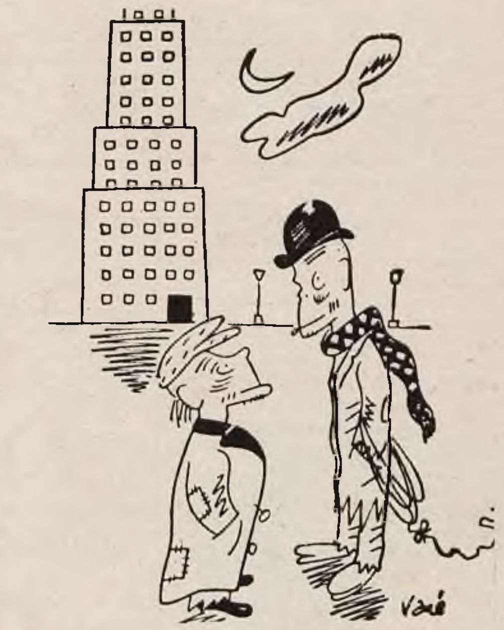
— Janie, co będzie dzisiaj na obiad?
— Rosół z puszki, befsztyk z puszki, sałatka z puszki i ananasy z puszki!
— Dobrze! Proszę jeszcze dodać puszkę fjołków i pół puszki orchidei...
(„Ric et Rac").

NOWOŻEŃCY.



— Tak, moja droga, najbardziej wstrząsającą chwilę mojego życia przeżywałam wtedy, gdy włożył mi obrączkę na palec...

TRIUMF TECHNIKI.

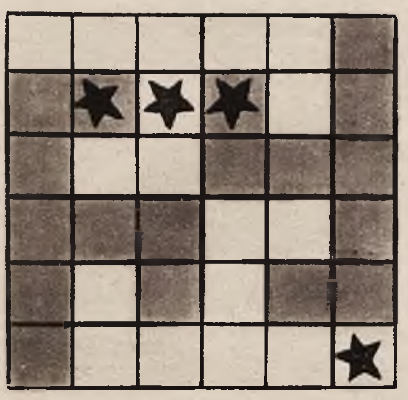


— Jakim systemem zbierasz niedopałki papierosów? Czy na lasso?
— Nie, przy pomocy odkurzacza...

Rozwiązanie z Nru 25-go.

CZTERY GWIAZDY.

Rozwiązanie wskazuje rysunek. Rozcięcie poszczególnych części uwidocznione jest zakreskowaniem. Wszystkie cztery części są tego samego kształtu i powierzchni, każda zawiera jedną gwiazdę i jeden z czterech środkowych kwadratów.



RADNI STOLICY RULONJI.

P. Piekarz jest kowalem, p. Piwowar krawcem, p. Rzeźnik stolarzem, p. Stolarz malarzem, p. Krawiec piekarzem, p. Szewc piwowarem, p. Malarz krawcem, p. Siodlarz rzeźnikiem, p. Kowal siodlarzem.

CÓRKI PROF. UŁAMKA.

Lata Paulinki oznaczamy p. — Suma lat sióstr Paulinki — n. Zatem trzy lata temu prof. Ułamek wydał p (p+n) zł., a tego roku wydał: (p+3) (p+3+n+3 . 4) zł., a zatem (p+3) (p+3+n+12) — p (p+n) = 240, po przekształceniach otrzymamy: 6p+n=65. Próbując podstawiać różne wartości za niewiadome otrzymamy:

	p.	n.
I.	9	11
II.	8	17

Ale tylko druga z nich jest zgodna z danymi zadania. A więc 3 lata temu Paulinka miała 8, Ksenia 7, Ala 3, najmłodsza 2, a piąta nie wymieniona imiennie 5 lat. Obecnie każda z nich ma o 3 lata więcej.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

OBIADY URZĘDNICZE.

Urzędnicy przedsiębiorstwa p. Wróbla postanowili codziennie jadać obiad po trzech przy jednym stole, ale tak, jak długo tych samych trzech urzędników nie będzie musiało ponownie razem zasiąść do stołu. Ta sama ilość urzędników biura p. Skowronka postanowiła jadać obiady podobnie jak urzędnicy p. Wróbla, ale zamiast po trzech, zasiadało ich do stołu po czterech. Okazało się potem, że urzędnicy p. Skowronka mogli trzy razy dłużej jadać obiad przy tym samym stole niż urzędnicy p. Wróbla.

Ilu urzędników najmniej zatrudniali p. Wróbel i p. Skowronek?

NA POLOWANIU.

Na polowaniu pies goni zająca, który ucieka do swej nory. Zając znajduje się już w punkcie B, oddalonym o 60 m od nory. Pies jest w punkcie C, oddalonym o 5 m. Na każde 12 metrów, które przebiega zając, pies biegnie 13 m. Czy pies złapie zająca zanim ten zdąży dotrzeć do nory?

Dokończenie ze str. 5-ej.

W swych miniaturach oddał on świetnie ton schyłku kultury prastarych rodów feudalnych. Ulubieńcem niejako Wiednia — stał się Michał Daffinger — obrazujący temperament starego, wesołego i beztroskiego życia wiedeńskiego. Obok tych występuje: Eneder, Adolf i Albert Theer, Krieruber itd.

Rozwój polskiego malarstwa miniaturowego związany był ze środowiskiem kulturalnem i artystycznem, które stworzył Stanisław August. Działają przeważnie artyści cudzoziemscy — Karol Bechon, Gustaw Taubert, Grassi, Lampi, Wincenty de Lesseur, a i powoli wysuwają się polscy — Kosiński, Rajecka. Pod koniec XVIII wieku zastęp ich się zwiększa, grupują się przeważnie w czterech centrach artystycznych, jakimi stały się Warszawa, Kraków, Lwów i Wilno. Trudno w tak pobieżnym szkicu omówić poszczególnych artystów: wymienimy najtypowszych. I tak dla Warszawy charakterystyczna jest grupa Stanisława Marszałkiewicza, który odznacza się nietylko świetną techniką, ale i talentem. W Krakowie działają M. Stachowicz, a jego częstym tematem jest kościuszko, pozatem Jerzy Klimbe, Józef Sonntag, Peszka, Głowacki. We Lwowie Michał Weixlbaum, Antoni Laub, Józef Haar i inni. Niemniej bogata jest grupa wileńska z Janem Rustemem i Walentym Wańkowiczem na czele. Sztuka minjaturowa w Polsce, podobnie jak w innych krajach zamiera powoli w drugiej połowie XIX wieku, by podobnie jak tam ustąpić miejsca fotografji. Odkrycie Daguerra zdemokratyzowało „mały portret". Miejsce minjatury zajęła fotografja, najczęściej mało artystyczna. Trzeba było dopiero stu lat niemal rozwoju fotografji, by i ta umiejętność, dzięki działalności amatorów, wkroczyła na drogi artystyczne. Ginie jednak minjatura, sztuka „okresu szlacheckiego".

Ale nie zanika znowu bezpowrotnie. W poszczególnych krajach trafiają się epigoni tej tak pięknej sztuki, a w Polsce nowa generacja malarzy XX wieku wykazuje swą żywotność w pracach przedwcześnie zmarłego, zdolnego minjaturzysty, Mieczysława Jakimowicza ,dalej Bogusława Adamowicza, Marji Chybińskiej, Jadwigi Gałęzowskiej i delikatnych minjaturach Kazimiery Dąbrowskiej.

* * *

Bogaty obraz rozwoju sztuki minjaturowej daje obecna wystawa, ukazująca około 600 minjatur. Wspaniałe kolekcje poszczególnych zbieraczy, jak Ksawerego hr. Pusłowskiego, Henryka Fraenkla, płk. dr Kazimierza Iwanickiego, Leona Kostki i wielu innych, umożliwiają zapoznanie się z dziełami mistrzów, jak Cosway'a, Isabey'a, Daffingera, Fügera, nie wymieniając innych, a z polskich Marszałkiewicza, Stachowicza, Weixlbauma i z miniaturzystami polskimi doby obecnej.

Mgr. P. Grossowa.

IDZIEMY DO TEATRU:

...w Warszawie:

— do Teatru Narodowego, który wprowadził na repertuar głośną sztukę angielskiego pisarza Morgana pt.: „Lśniący strumień". Tytułowym „lśniącym strumieniem" jest — wedle sformułowania wybornego poety i świetnego krytyka K. Wierzyńskiego — nurt wiary, przenikający nas poza świadomością, którym płynie „czysta prawda bez dowodu". Prowadzi nas w życiu ledwie wyczuwalny, lecz niepowstrzymany, wyznacza granice jestestwa, określa człowieka ściślej, niż normy kultury. Ze źródła „lśniącego strumienia" pochodzi nasza moralność, on zabarwia nasz charakter, determinuje nasze czyny. Ujściem jego jest suma naszej wiary, absolut. Zatamować w sobie „lśniący strumień", to znaczy przestać istnieć. Chcieć doświadczyć jego niesprawdzalnej istoty, to dać się unieść lucyferycznej próżności. Wyczuwać jego boski prąd i nagle dowiedzieć się, że był błędny, to oszaleć.



Xenia Grey jako „Dama od Maksyma" na scenie Teatru Miejskiego w Wilnie.

O wartości tej sztuki decyduje nie tylko jej sens ideowy, ale także doskonałe kształty artystyczne. Sztuka spotkała się z powszechnem uznaniem krytyki, zastrzeżenia budzi tylko jej realizacja sceniczna. Przygotował reżysersko sztukę K. Borowski, główne role grają Gorczyńska i Białoszczyński, ale na czoło wykonawców wysuwa się znakomity Zelwerowicz. Ponadto występują w sztuce Pancewicz-Leszczyńska, Woskowski, Dominiak, Chodecki, Śliwiński i t. p. Oprawę dekoracyjną dał Daszewski.

...we Lwowie:

— do Teatru Miejskiego, który wystawił granego już w Krakowie „Korsarza" Acharda, przygotowanego tu inscenizacyjnie przez Leona Schillera. Oprawę dekoracyjną skomponował Stan. Cegielski. Realizacja sceniczna „Korsarza" różni się znacznie od doskonałego przedstawienia krakowskiego, niemniej i ona zasługuje na pełne uznanie. Rolę Ewangeliny gra pięknie Nina Karasińska, a tytułową rolę doskonale Wład. Krasnowiecki. Postać Kristobala obsadzono podwójnie, historycznego gra J. Staszewski, komicznego w filmie J. Leliwa. Inne role znalazły starannych odtwórców w J. Machalskim, B. Hierowskim, M. Węgrzynie, G. Oranowskiej i in.

TO CO NAJCELNIEJSZE

PRZECZYTAMY:

Nawet ludzie wykształceni i inteligentni mało są zorjentowani w dziedzinach, wykraczających poza realne normalne życie, a zwłaszcza tam, gdzie nasuwają się zagadnienia życia pozagrobowego, zjawisk parafizycznych, magji i tych wszystkich odgałęzień nauki, zajmującej się zjawiskami niewytłumaczalnemi, tracą oni orjentację i nie umieją logicznie i zgodnie z prawdą określić tych zjawisk. Wobec tego, że te tajemnicze zagadnienia coraz bardziej intrygują ludzkość, a począwszy od połowy XIX wieku, kiedy wystąpiła na arenie światowej Bławacka, a po niej Annie Besant i wiele innych, coraz lepiej zostają zbadane i „skatalogowane", człowiek współczesny, chcący ogarnąć swoim umysłem całokształt współczesnego życia musi, względnie powinien, zainteresować się naukami, zwanemi popularnie okultystycznemi.



Ludwik Szczepański.

Pomoże mu w tem właśnie co zjawiająca się na półkach księgarskich książka Ludwika Szczepańskiego p. t. „Wiedza tajemna, wróżbiarstwo, magja dni naszych", wydana przez Księgarnię Powszechną. Nie potrzebujemy podkreślać kim jest Ludwik Szczepański: jest on bezsprzecznie największym autorytetem w dziedzinie okultyzmu, znanym dzięki licznym artykułom i kilku tomom, tworzącym wydaną ostatnio encyklopedję okultyzmu. — Książka Szczepańskiego porusza wszystkie interesujące rozdziały tej wielkiej nauki: zaczyna od historji i rozwoju tej wiedzy, przechodzi do okultyzmu Indyj, mówi o licznych tajnych organizacjach, mających w zasadzie cele okultystyczne, a więc przedewszystkiem o różokrzyżowcach, wkońcu zajmuje się dzisiejszym stanem okultyzmu, dając wiele niezwykle ciekawych szczegółów, oraz liczne niezwykle sugestywne ilustracje. Chcąc mieć o tej dziedzinie konkretne wyobrażenie należy sięgnąć po tę książkę, która w naszej literaturze okultystycznej stanowi poważny dorobek.

JGM.

Księgarnia wyd. Gebethner i Wolff obdarzyła nas nową książką Kornela Makuszyńskiego, zatytułowaną „Kartki z kalendarza". Są to kartki z kalendarza wspomnień znakomitego pisarza. Makuszyński ze łzą smutku w oczach patrzy, jak niejednokrotnie fałszywe sądy ukazują się w dzisiejszem społeczeństwie o ludziach i rzeczach wczorajszych, i te sądy pragnie sprostować, pragnie pokazać to, co było piękne, dobre i twórcze, o czem nie powinniśmy nigdy zapomnieć.

W wybornych „Kartkach z kalendarza", — powiedzmy odrazu: w najciekawszym i najlepszym zbiorze swoich feljetonów, — wspomina Makuszyński postać poety „Małych Polaków" niedocenianego, a wielkiego Władysława Bełzy, postać „Jaśnie Wielmożnego Regimentarza", tj. Stan. Eljasza Radzikowskiego, dalej „tragiczną postać sztuki polskiej" J. A. Kisielewskiego, wspomina Małaczewskiego, czy genjalną Zapolską, wielkiego Wincentego Drabika, czy „człowieka czarującego": Karola Szymanowskiego. Osobny feljeton poświęca Weyssenhoffowi jako... poecie. Itd. itd. A każde to „itd. itd", opromienione żarliwą miłością wszystkiego co piękne, dobre i twórcze, a przedewszystkiem co polskie, napisane z pogodą optymizmu, z wybornym humorem i znakomitą polszczyzną — jest rzetelnym klejnotem polskiej literatury feljetonowej i wspomnieniowej. **(swb).**



Kornel Makuszyński w swoim gabinecie przy pracy.

NA POLSKIEJ ANTENIE:

Tegoroczne „D n i M o r z a" organizowane są pod hasłem „Nie damy się odepchnąć od Bałtyku". Okrzyk ten, lecący od polskiego wybrzeża, rozniosą po całej Polsce również i fale radjowe, albowiem Polskie Radjo organizuje, jak co roku, wiele audycyj, stanowiących odzwierciedlenie uczuć i nastrojów, panujących w społeczeństwie. Poza tą główną myślą przewodnią programu najbliższego tygodnia, znajdziemy także wiele innych niezwykle interesujących audycyj, oraz pewne inowacje programowe, które będą niewątpliwie chętnie powitane.

W n i e d z i e l ę dn. 25 bm. o godz. 14.45 audycja mickiewiczowska, poświęcona lekturze „Sonetów Krymskich". O godz. 16.30 usłyszymy w koncercie z Poznania Madrygały angielskie z XVI i XVII w. O godz. 19.00 odbędzie się premjera słuchowiska Haliny Auderskiej p. t.: „Połów", które zaznajomi z życiem Kaszubów. O godz. 21.45 pierwsza audycja konkursowa p. t.: „Dobry żart tynfa wart".

W p o n i e d z i a ł e k dn. 26 bm. o godz. 18.30 usłyszymy utwory fortepjanowe Jana Brahmsa w wykonaniu Z. Drzewieckiego. — O godz. 21.00 nadaną zostanie audycja muzyczna p. t. „Nasze morze".

We w t o r e k dn. 27 bm. o godz. 18.00 audycja słowno-muzyczna p. t.: „Apel polskich pionierów kolonjalnych", zaś o godz. 21.00 usłyszymy kantatę mitologiczną Moniuszki p. t. „Milda".

We ś r o d ę dn. 28 bm. o godz. 18.35 H. Zboińska-Ruszkowska wykona pieśni polskich kompozytorów m. in. Lipskiego, Szopskiego, Jachimeckiego. O godz. 19.00 usłyszymy VII część Klubu Pickwicka, zaś o godz. 21.40 odczyt, który poinformuje o nowych badaniach biologicznych nad polskim Bałtykiem. Dopełni programu o godz. 22.00 koncert melodyj morskich i kolonjalnych.

We c z w a r t e k dn. 29 bm. o godz. 9.00 transmisja z Gdyni uroczystości z okazji „Dni Morza i Kolonij". O godz. 19.00 Teatr Wyobraźni nadaje obrazek słuchowiskowy z życia kupców gdańskich wieku XVII pt.: „Przygoda pana Bażyka na morzu". O godz. 19.30 audycja p. t.: „Tematy morskie w muzyce symfonicznej", a od godz. 21.15 koncert rozrywkowy „Pod polską banderą". W czasie przerwy humoreska morska p. t.: „Dowódca".

W p i ą t e k dn. 30 bm. o godz. 18.00 z Konserwatorjum Warszawskiego transmitowany będzie recital organowy Bronisława Rutkowskiego. O godz. 19.00 audycja literacka p. t.: „Gdańsk w poezji" w opracowaniu J. Gomulickiego. O godz. 21.00 wielki koncert w wykonaniu orkiestry symfonicznej P. R. pod hasłem „Na dalekich morzach". W przerwie koncertu słyszymy szkic literacki Marji Dąbrowskiej p. t.: „Władysław IV i sprawa morska".

W s o b o t ę dn. 1 lipca o godz. 18.30 koncert z płyt: Kwartety Beethovena. O godz. 19.00 dalszy odcinek powieści mówionej K. Boguszewskiej i J. Kornackiego p. t.: „Charaktery". O godz. 20.00 melodje ziemi polskiej: „Pomorze śpiewa". O godz. 21.00 nadana zostanie opertka morska p. t.: „Panna wodna", napisana przez Jerzego Lawinę-Świętochowskiego do libretta J. Krzewińskiego. Wykonawcami tej audycji będą mała orkiestra i chór pod dyr. Z. Górzyńskiego.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych materjałów Redakcja nie zwraca. — Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczenia egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji. — Zakłady Graficzne "IKC", Kraków, Wielopole 1, pod zarz. Fr. Czajki. Miejsce wydania: Kraków, Wielopole 1.